Nr. 44 (377). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 31 października 1931. Nal. poczt. opł. rycz. Numer zawiera 24 stron. Rok VIII.

ŚWIATOWID

NARCIARZE WYRUSZYLI JUŻ W TATRY.



W Tatrach dwukrotnie w ostatnich czasach spadł obfity śnieg, pokrywając góry grubą warstwą. Skorzystali z tego narciarze, udając się na pierwszy trening. Zdjęcie powyższe przedstawia trzech wybitnych polskich narciarzy (od lewej) Ludwika Gabrysia, Antoniego Szostaka i najznakomitszego polskiego skoczka Stanisława Marusarza. Wypoczywają oni po wycieczce.

Fot. Fr. Olbrychski, Zakopane.

NA FRONCIE NĘDZY I BEZROBOCIA.

Zbliża się szybkiemi krokami zima. Gospodarczo będzie ona bardzo ciężka. Na świecie bowiem znajdują się miljony bezrobotnych. Wprawdzie państwa wypłacają bezrobotnym zapomogi, ale akcja ta jest kroplą w morzu, wobec potrzeb kroci najbiedniejszych, którzy wprawdzie nie istnieją w oficjalnych wykazach, niemniej jednak cierpią nędzę i głód. Pełne ich są bruki miast, pełne wsie i miasteczka. To też dziś w całej Polsce rozbrzmiewa hasło pomocy dla bezrobotnych, tworzą się komitety, otwiera się kuchnie i składa się ofiary na ten cel. Czołowe miejsce w całej tej akcji zajmuje Kościół i jego organizacje tak świeckie, jak i zakonne. Szczególnie intensywną jest działalność Braci Albertów, zajmujących się najbiedniejszemi z biednych. Posiadają oni w kilku miastach Polski swoje przytułki dla nędzarzy. Założycielem ich był Brat Albert, który za zadanie swojego życia obrał sobie niesienie pomocy dla tych, którzy stoczyli się na dno nędzy. U Braci Albertów każdy biedak, nieposiadający dachu nad głową może się przespać, może nawet stale mieszkać. Ponadto otrzymuje on tam śniadanie i obiad.

Byłem w tych dniach u Braci Albertów w Krakowie. Przytułek ich mieści się na Kazimierzu przy ul. Krakowskiej. Mały piętrowy budyneczek z obszernym dziedzińcem.

Jest właśnie godzina 12-ta.

Odzywa się dzwonek. Znak to, że zaczyna się wydawanie obiadu. Jakoż do okienka cisną się biedne wynędzniałe postacie, przeważnie starcy, schorowani, ale nie brak i młodzieży. Każdy z nich otrzymuje do menażki kopiatą porcję kapusty okraszonej i ziemniaków. Ich wybladłe oczy z radością spoglądają na gorące jadło. Drżące ręce ujmują łyżki...

Naogół nastrój panuje dość wesoły. Obecność moja wzbudza powszechne zainteresowanie. Rzadko tu bowiem kto zagląda.

— Pan z gazety?

— Tak jest, odpowiadam, dobrze wam tu?

— To się wie.

W tej chwili na podwórze zajeżdża ciężko wyładowany wóz.

— To nasz kwestarz, objaśnia jeden z zakonników.

Kwestarz ma minę zadowoloną, bo przywiózł gdzieś z pod Kielc ogromny transport kartofli i jarzyn. Bierze też na plecy olbrzymi worek i niesie go szybko na piąterko, zasłaniając twarz przed fotografem.

— Wieluż to macie pensjonarjuszy? — zapytuję Braciszka.

— Około 130.

— A z czego żyjecie?

— Mamy fabryczkę giętych mebli, a oprócz tego z ofiarności ludzkiej i subwencji magistrackiej.

— A dajże wam Boże jaknajlepiej.

Kto bowiem jak kto, ale Bracia Alberci, ci bezimienni, a jednak najgorliwsi opiekunowie najbiedniejszych zasługują na poparcie.

Żyją bowiem w myśl zasady: nic sobie, wszystko bliźnim.

Jan Lankau.



Codziennie o 12 odzywa się dzwonek w przytulisku Braci Albertów, zwołujący głodnych do obiadu.



Obok: Gdy w kawiarni ujrzycie szarego kwestarza z puszką w ręku, nie odmówcie mu datków, bo to wysłannik Braci Albertów, proszący o grosz dla najbiedniejszych.



Na prawo: Stary „ojciec" z przytułku Braci Alberta cieszy się, że dzisiaj dostał podwójną porcję kapusty.

W DZIEŃ ZADUSZNY.

Otrząsamy się na widok klepsydr. Tyle ich na ulicach, niemal tyle, ile afiszów kinowych. Czasem biało-czarny kwadrat na murze naszego domu mówi o śmierci sąsiada. Z obowiązku idziemy na cmentarz, czasem gra orkiestra wojskowa, ale zazwyczaj jest błoto i deszcz — wracamy do domu z katarem. Oddaliśmy ostatnią posługę i rychło o tem zapominamy. A czasem śmierć zakołacze do nas, do naszego mieszkania: trafi kogoś z rodziny. Wtedy, w tej chwili poprzez szczere łzy potrafimy zrozumieć śmierć zwykle obojętną, umiemy ją rozumieć, a nawet nie ją, lecz życie. Bo wówczas, jeszcze większą potęgą wydaje się nam życie, prawdziwą wiosną nawet pośród zimy — to samo życie, które jeszcze wczoraj sprawiało nam tyle kłopotu. Zazwyczaj wstydzimy się takich myśli, spychamy je na peryferje świadomości, gdyż przeszkadzają nam dostojnie cierpieć. Wielekroć zresztą ból jest tak



Grób Nieznanego Żołnierza, sanktuarjum Narodu Polskiego i jego ołtarz wolności. W Dzień Zaduszny płyną do tego miejsca myśli wszystkich rodaków.



Płoną świece na mogile, znak pamięci ze strony najbliższych.

szczery, że zmienia życie w ciężar i tępy, zawiły przymus. Są wszak ludzie, co nie mogąc przeżyć śmierci kochanej istoty, zwracają się do trucizny lub gładkiej, niezawodnej lufy rewolweru. Inni szukają wątpliwego lekarstwa w alkoholu lub morfinie. Dla innych zapomnieniem jest gorączkowa twórczość — niejeden wynalazek powstał dzięki natchnieniu z za grobu, które stało się żywą i owocną ideą.

Jednak w większości wypadków życie pędzi swoim torem i spycha maruderów smutku. Tęsknimy, wspominamy rok, dwa, potem myślimy o nich coraz rzadziej, wreszcie zapominamy gruntownie.

Prędko zapominamy. Nawet tych, którzy byli nam najdrożsi, nawet tych, których przyrzekliśmy wiecznie pamiętać.

Wspomnijmy niezliczony szereg ofiar wojennych, młodych chłopców i dojrzałych mężczyzn, synów, braci, mężów i kochanków. Oddali życie w obronie granic naszej ziemi i ziemia przysypała ich na wieki. Pamiętajmy: miały białe, drżące ręce, oczy aż jasne od łez, czarne welony. Chodziły po ulicach miasta jak żywe posągi żałoby. Potem te same białe ręce odjęły welony, przyróżowiły wargi — te same oczy uśmiechały się. Być może, że jest to najmędrsze prawo życia, owo prawo reakcji psychicznej i nie mają racji w ciasnem oburzeniu przygodni moraliści. Ale w imię czystości i etyki życia chodzi o to, żeby ten uśmiech przechodząc mimo grobów, nie zatarł ich i nie splugawił. Bo te mogiły są ciągłą wartością w życiu Narodu — okupiły wolność.

Pomyślcie o ofiarach zawodu, o policjancie, co biegnąc za złodziejem naszego mienia, nispodziewanie spotkał śmierć — o bohaterskim zgonie górnika, łupiącego oskardem bryły ciepła dla naszych pokoi.

Czy wiecie o tych wszystkich uczonych, wynalazcach fizykach i chemikach, co dla wiedzy płonęli jak świeca w laboratorjach, o lekarzach, co na własnem ramieniu zaszczepili raka..., o palcach i ustach opuchłych od zabójczych promieni Rentgena.

Z tych żywotów, pełnych pracy i męki i zabitego szczęścia, z tych śmierci czynimy mierzwę pod nowe życie, rozkruszamy je na ił cmentarny i życiodajny. Po tych śmierciach, jak po stopniach, wznosi się nasze życie naprzód i do góry. Dlatego, w ten jeden dzień w roku, który poświęcony jest pamięci umarłych, powinniśmy iść na cmentarz i kwiatem ozdobić mogiły. Nie dlatego, że cierpkie memento mori grozi, że i my kiedyś odejdziemy w zaświaty, lecz ponieważ nasze triumfy, prace i radości urosły z powiewu tamtych, umarłych wartości.

Poniżej: Sprzedaż kwiatów w Dzień Zaduszny na Rynku w Krakowie.



Na chwilę wyrwijmy się z gorączkowego biegu życia, handlu, interesów i pożądań, dajmy dowód wdzięczności cieniom nie ludzi już nawet często, lecz idei, wrosłej w rany serca. W ten jeden jedyny dzień bądźmy im wierni...

Nie zapomnijmy w Dzień Zaduszny położyć wiązanki złocieni na płycie grobowej Nieznanego Żołnierza...

Nika.

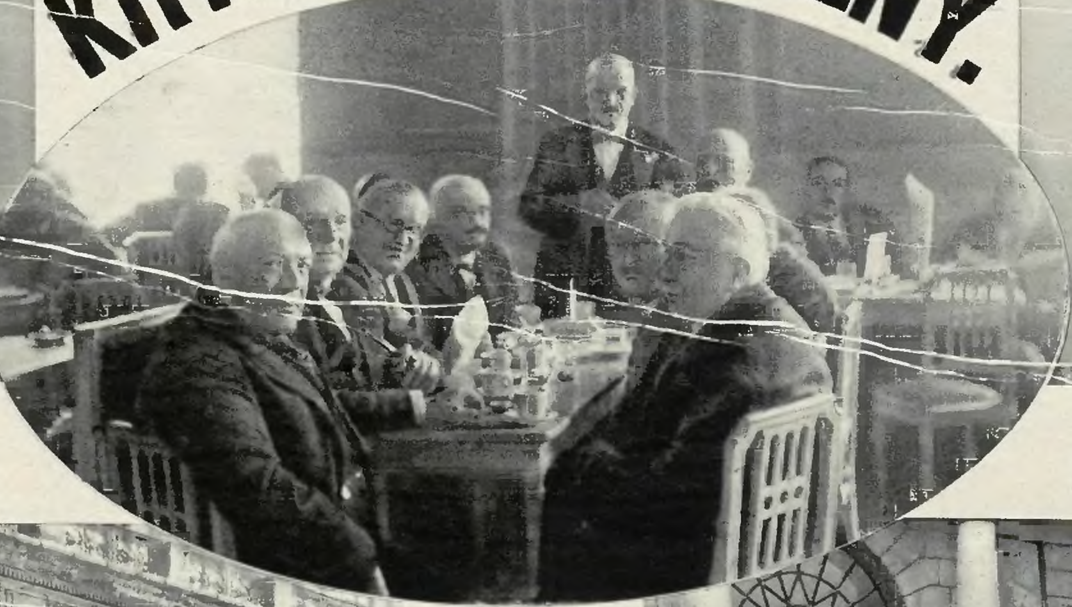
WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".



WARSZAWSKI
KRYZYS TEATRALNY.



Dyr. Arnold Szyfman, kierownik teatrów „Polskiego“, „Małego“ i na Chłodnej umiał zlikwidować zatarg z ZASP-em, dzięki czemu teatry jego grają.



Skazani na przymusowe bezrobocie, artyści przesiadują w popularnej kawiarni Lourse'a, omawiając sytuację. Na pierwszym planie (po lewej) Chmieliński, obok mistrz Frenkiel.



Redaktor Krzywoszewski, powołany na dyrektora teatrów miejskich nie może uruchomić teatrów z powodu opozycji zespołu artystów tych teatrów i ZASP-u.



Zamknięty gmach Teatru Narodowego w Warszawie.



Pracownicy techniczni i administracyjni w porozumieniu z artystami chórów i baletu opery, pragnąc zaprotestować przeciwko niewypłacaniu im przez Magistrat emerytur i odpraw, udali się gremjalnie na posiedzenie Rady Miejskiej, domagając się głośno o pieniądze. Fotografja przedstawia uczestników pochodu przy bramie Magistratu.



Prez. m. Warszawy inż. Z. Słomiński ma ciężki orzech do zgryzienia z uruchomieniem teatrów miejskich.

Ścisłe określenie „kryzys teatralny“ jest... wieloznacznikiem. Kryzys teatralny może równie dobrze znaczyć „brak wartościowych utworów scenicznych“, jak „posuchę na talenty aktorskie“, jak „zobojętnienie społeczeństwa dla teatralnego kunsztu“, jak wreszcie „pustki w salach teatralnych z powodu ogólnego zubożenia ludności“. W tym ostatnim wypadku kryzys teatralny byłby nie kryzysem specjalnie teatralnym, lecz tylko refleksem bardziej zasadniczego kryzysu ekonomicznego w kraju, czy na kontynencie, czy na kilku kontynentach jednocześnie.

Mówić o kryzysie teatralnym jako o rezultacie srogich mankamentów w dziedzinie twórczości dramatopisarskiej, byłoby zaiste rzeczą niepoważną po dwudziestu czterech kolejnych stuleciach nieprzerwanego trwania w Europie tej znamienitej twórczości. Teatr, któryby się dzisiaj skarżył na niewystarczalność, na brak repertuaru, naraziłby się na śmieszność. Nawet taki pan dyrektor, który w Polsce nie uznaje żyjących autorów polskich, łatwo ułoży repertuar z przewagą polskich utworów scenicznych, chronologicznie wcześniejszych. Tu nawiasowo dorzucę, że wznowienia polskie w ostatnich sezonach ratowały honor i kasę warszawskich teatrów miejskich, pogrążanych systematycznie w opinji kulturalnego ogółu przez arcydotkliwe upadki, nie wiadomo poco wystawianych, mizernych „nowości“ obcych.

Nie brak nam i świetnych i nawet olśniewających aktorów płci obojga, więc i nie przez beztalencie aktorstwa polskiego teatr przeżywa kryzys.

Co się zaś tyczy publiczności, wypróbowanej, wiernej, żarliwej wielbicielki magji teatralnej przez półtrzecia tysiąca lat, nie mamy prawa jej posądzać o nagłe zobojętnienie dla sceny, gdyż uczęszczała do teatru nawet zkarykaturowanego, wypokraczonego, wynaturzonego przez rzekomych reformatorów-reżyserów.

Kryzys teatralny nie istnieje ani na stanowisku autora dramatycznego, ani na stanowisku aktora, ni na stanowisku publiczności.

A przecież jest, istnieje, wszyscy o nim mówią i wszyscy go spostrzegają.

Kryzys teatralny to nieprawdopodobne barbarzyństwo tak zwanych odnowicieli teatrów, to Meyerhold w Rosji, to niewolniczy kopista Meyerholda, pan Leon Schiller, w Polsce. to wydrwiony Piscator w Berlinie, również wierna kalkomanja rosyjskiego pseudoreformatora teatru, psowacza nieśmiertelnych wizji Szekspira, Gogola, Moliera, czy młodego Crommelyncka. Z Meyerholdem i z meyerholdczykami, czyli z tak zwanymi reżyserami twórczymi, wdarło się na scenę nieposzanowanie dzieła. Oni to z Szekspirów, Goldonich, Fredrów, uczynili „preteksty“ do własnych, niemądrych popisów. Chorobliwa manja wystawiania sztuk nie właściwie, ale „inaczej“, oto robak jadowity w organiźmie teatru, oto prawdziwy ropień kryzysu teatralnego.

A pozatem istnieje w Warszawie kryzys teatrów miejskich, splot nieporozumień, pretensji, twardy węzeł gniewów, złośliwości i próby sił organizacji zawodowej aktorstwa i magistratu. Magistrat jest mocniejszy. Nie ma pieniędzy, ale ma czas. Oddał teatry w dzierżawę poręczającą redaktorowi Krzywoszewskiemu i czeka na premierę. Dotychczasowa trupa tych teatrów żąda, aby ją redaktor Krzywoszewski zaangażował w całości. Redaktor Krzywoszewski uważa, że ma prawo angażować wszystkich tych aktorów, których angażować zechce, ponieważ za finansowe rezultaty kampanji teatralnej odpowiada koniec końców swoją własną, prywatną, osobistą kieszenią. Na to artyści odpowiedzieli związaniem się w zrzeszenie z panem Józefem Węgrzynem na czele i zaproponowali zarówno panu prezydentowi Słomińskiemu jak i panu redaktorowi Krzywoszewskiemu, żeby gmachy teatralne przekazano temu zrzeszeniu. Ale pan prezydent Słomiński sądzi, że najważniejszą sprawą jest w tej chwili nie co innego, a właśnie zreformowanie trupy, podstawowa i zasadnicza sanacja artystycznego organizmu pierwszej sceny polskiej i jej dwóch oficyn, sceny teatru Letniego i scenki teatru Nowego. Mijają dni i tygodnie, odbywają się posiedzenia zrzeszonych artystów, drukują się w dziennikach enuncjacje stron zwartych w zatargu, co południe u Loursa nad kawą czarną i herbatą znakomici przedstawiciele fascynującego kunszu Roscjusza wymieniają spostrzeżenia na temat sytuacji dyplomatyczno-bojowej na trójkątnym froncie Słomiński—Krzywoszewski—Zrzeszenie, uśmiecha się pod mięsistym nosem mistrz Mieczysław Frenkiel, wybucha srebrną kaskadą wesołości mistrz Antoni Fertner, Chmieliński kiwa głową pobłażliwie, między stolikami przecina sobie drogę w gęstym tłumie gości cienki, jak lancent, Frenkiel junior, a za nim płynie okrągły ogrom Janusza, woceprezesa Z. A. S. P-u. Rozchodzi się wiadomość o secesji. O jakiej secesji? Trzydziestu aktorów Zrzeszenia odbyło osobną naradę. Ilu? Trzydziestu? I co? Zażądali od głównego zarządu ,aby natychmiast udzielił Krzywoszewskiemu konwencji. W przeciwnym razie angażują się do teatrów Krzywoszewskiego, wbrew zakazowi Zaspu i zakładają nowy związek aktorski. Czy być może? Ależ to nieprawda! Nie może być dwóch związków! Dlaczego? My chcemy grać! A co zrobi główny zarząd Zaspu? Powinien się podać do dymisji. Co za sensacja! Tylko dymisja głównego zarządu może ocalić Z. A. S. P. przed rozbiciem. Trzeba natychmiast zwołać walne zebranie!....

W cukierni gwar.

A pan prezydent Słomiński w ciszy swego gabinetu rozpatruje dezyderat Rady miejskiej o uruchomieniu teatrów od dnia.... A pan redaktor Krzywoszewski wyjechał na polowanie. A publiczność chodzi na „Miłość Georgetty“ do kinematografu i płacze.

Wacław Grubiński.

Prof. Dr. ODO BUJWID (Kraków).

NA MARGINESIE PROCESU W LUBECE.

Wobec fatalnych wyników zastosowania szczepionki Calmetta w Lubece, a jednocześnie karygodnego zaniedbania, czy lekkomyślności osób poważne zajmujących stanowiska społeczne, która spowodowała śmierć 75 niemowląt i obecnie jest przedmiotem sensacyjnego procesu należy zdać sobie sprawę z tego, czem jest właściwie ta szczepionka i czego od niej spodziewać się można. Ważnem jest również pytanie, czy może ona być niebezpieczną i czy jej przypisać należy nieszczęśliwe wypadki w Lubece.

Długo badano bezskutecznie sposoby takiego osłabienia zarazków gruźlicy, ażeby one były nieszkodliwe dla zwierząt, a jednak mogły być użyte, jako zabezpieczenie przeciw złośliwemu zarazkowi. Próbowano też otrzymać substancje z samego zarazka, które mogłyby być zastosowane, jako szczepionka chroniąca lub nawet lecząca. Próby, jakie wykonał znakomity badacz gruźlicy Robert Koch z odkrytą przez siebie tuberkuliną, zakończyły się niefortunnie. Znalezione przez innych badaczy zarazki, podobne do bakterji gruźlicy, były wprawdzie nieszkodliwe, jak silnie reklamowany zarazek dra Friedmana, ale też nie miały one żadnego wpływu na zahamowanie wzrostu zarazka gruźlicy.

Dopiero badania lek. wet. dra Guerin'a i prof. Calmette'a, dyrektora inst. Pasteura w Paryżu, doprowadziły do odkrycia zmodyfikowanego zarazka gruźlicy, który jest nieszkodliwy dla zwierząt i człowieka, natomiast wprowadzony do ustroju zdrowego nietylko nie powoduje żadnych szkodliwych zmian, lecz co więcej, zapobiega zakażeniu złośliwą gruźlicą.

Trzeba jednak zrozumieć podstawy działania tego zarazka, które zupełnie się różnią od tych, jakie u innych zarazków przywykliśmy widzieć.

Zmodyfikowany zarazek ospy, zaszczepiony ochronnie, powoduje krótkotrwałą gorączkę i po niej pozostaje długotrwała odporność na ospę, trwająca nieraz całe życie.

Zabity zarazek duru brusznego (tyfusu) po zastrzyknięciu powoduje również niedługo trwający odczyn gorączkowy i ogólny, poczem nabyta odporność zostaje przez czas bardzo długi, nie pozwalając na powtórne zarażenie.

Zobojętniony metodą Ramon'a jad błoniczy, otrzymany z bakteryj broniczych (dyfteryt), zastrzyknięty dziecku, gdy jest wokoło nasilenie tej choroby, chroni od zachorowania przez czas bardzo długi.

Zabite paciorkowce, znajdowane przy szkarlatynie, po zastrzyknięciu wywołują odporność przeciw groźnym powikłaniom przy szkarlatynie i ratują nieraz od ciężkiej szkarlatyny.

A teraz parę słów o leczeniu zapomocą zarazków lub ich produktów. Otrzymanym z bakteryj błoniczych jadem szczepimy konie, podając im coraz większe, wkońcu stokrotnie śmiertelne dawki, bez szkody, bo już zostały przyzwyczajone przez długi czas małemi dawkami jadu. Z koni tak szczepionych otrzymujemy surowicę leczniczą, serum, jak się to teraz powszechnie nazywa. Wstrzyknięta choremu na błonicę dziecku, jeżeli nie została zastosowaną zapóźno, leczy je szybko i skutecznie, a niemniej skutecznie zapobiega zachorowaniu, ale tylko na dwa tygodnie, jeżeli się ją zastrzyknie przed zachorowaniem.

Podobnie rzecz się ma z innemi surowicami i szczepionkami.

Odmiennie zachowuje się zarazek wścieklizny, który, jak to wskazał Pasteur, po zmodyfikowaniu przez odpowiedni sposób przeprowadzania przez króliki, staje się nieszkodliwym dla człowieka i może być stosowany do szczepienia pod skórę po skaleczeniu przez psa wściekłego. Tkanka podskórna rozpuszcza zarazek i wytwarza substancje niszczące, zanim on zdąży dostać się do mózgu ukąszonego człowieka.

Każdy z wymienionych zarazków ma swój właściwy sposób działania i nie można sądzić, znając jeden, że i drugi działa tak samo.

Bakterje gruźlicy mają taki właśnie, zupełnie odmienny, sobie tylko właściwy sposób działania na organizm. Tworzą one ogniska w różnych narządach, zwłaszcza w płucach, ogniska te rozpadają się, albo zasklepiają i od tego też zależy dalsza choroba, prowadząca do śmierci lub też wyleczenia.

Człowiek, wyleczony z gruźlicy, nie posiada wyraźnej odporności i może zachorować ponownie.

Calmette i Guerin potrafili uzyskać z hodowli zarazka gruźlicy bydlęcej, zapomocą długiego hodowania tej bakterji na ziemniakach z żółcią, pewną odmianę bakteryj gruźliczych, które utraciły zupełnie swoją jadowitość, ale zachowały właściwość niedopuszczania do rozwoju w organiźmie człowieka lub zwierzęcia, którym zostały zaszczepione, innych, złośliwych bakteryj gruźliczych, które tam się przypadkowo dostaną.

Owo odkrycie odmiany bakteryj gruźlicy, o tak szczególnem zachowaniu, dokonane przed 16 laty, zostało potwierdzone przez wszystkich badaczy, którzy się tą sprawą zajęli. Były z początku liczne zastrzeżenia, a nawet zaprzeczenia wartości odkrycia. Dzisiaj jednak nie ma to zapatrywanie przeciwników, przybywają zaś coraz nowi liczni zwolennicy praktycznego stosowania metody szczepiennej u ludzi, po dokładnem wystudjowaniu działania szczepionki na licznych zwierzętach. Teoretycznie możnaby postawić jeden zarzut metodzie: nie jest teoretycznie wykluczonem, że pod pewnymi warunkami zarazek zmodyfikowany nie przybierze kiedykolwiek ponownie poprzedniej jadowitości. Znane są takie nawroty jadowitości u różnych bakteryj. Trzeba jednak z całą stanowczością zaznaczyć, że takie próby sztucznego wytworzenia pierwotnej jadowitości nikomu się nie udały.

Pomiędzy innemi muszę przytoczyć i rezultaty własnych badań w tym kierunku.

Wiemy np., że świnka morska jest bardzo wrażliwa na najmniejsze ilości zarazka gruźlicy, który po zaszczepieniu wywołuje śmierć zwierzęcia po sześciu lub ośmiu tygodniach. Można byłoby przypuszczać, że świnki morskie, które zostaną osłabione przez zatrucie ich jadem dyfterytu prawie do granic śmiertelnych, będą tak osłabione, że jeżeli im zaszczepimy osłabione zarazki Calmette'a, wówczas nie wytrzymają one tego szczepienia i ulegną gruźlicy nawet pod wpływem tego tak silnie zmodyfikowanego zarazka. Natomiast takie świnki doskonale przeżywały zaszczepienie zarazka Calmette'a, a co więcej, gdy im zaszczepiono zarazki silnej gruźlicy, żyły prawie rok czasu tak, iż widocznie były częściowo odporne na gruźlicę, co u tych zwierząt w inny sposób jest nieosiągalne.

Doświadczenia te, powtórzone kilkakrotnie, dały zawsze ten sam wynik.

A zatem gruźlica Calmette'a straciła zupełnie charakter zakaźalności. U większych, bardziej odpornych zwierząt, jak np. u krów, zaszczepienie gruźlicy, wykonane wcześnie, w okresie cielęcia, pozostaje nietylko nieszkodliwem, ale chroni je od zakażenia gruźlicą, co zostało stwierdzone na bardzo licznych stadach w ten sposób od gruźlicy zabezpieczonych.

Na podstawie doświadczeń na zwierzętach, wprowadzono szczepienia u dzieci naprzód we Francji, gdzie do tej chwili zaczczepiono ochronnie powyżej 100.000 niemowląt, potem i w innych krajach. I u nas w Polsce, doświadczenia te są dokonywane w Warszawie i w Poznaniu na większą skalę z jak najlepszym wynikiem. Oczywiście zachowuje się jak największą ostrożność; dzieci stale są pod opieką lekarską i kontrolą, każdy przypadek śmierci, jaki przypadkowo zachodzi z powodu jakiejś innej choroby, jest należycie zbadany, czy nie zachodzi tu przypadkowa obecność zarazka Calmette'a. Dotąd nigdzie nie można było skonstatować śladu podejrzenia, ażeby zachodziła możność powrotu zakaźności tej szczepionki.

Tu uważam za stosowne przytoczyć w krótkości wynik obrad pierwszego Kongresu Mikrobiologów, odbytego w Paryżu w lipcu roku ubiegłego, gdzie była szczegółowo omawianą sprawa szczepionki BCG (Bacillus Calmette Guerin). Był to bardzo liczny zjazd mikrobiologów całego świata, pomiędzy innymi pierwszorzędnych badaczy niemieckich z uczniem Rob. Kocha, prof. E. Pfeifferem na czele. Debaty były wyczerpujące, zaś w dyskusji nikt z uczonych niemieckich nie wyraził ani słowa powątpiewania co do odkrycia Calmette'a. Przeciwnie już wówczas mówiono, że szczepienia, wykonane w Lubece, naraziły na szwank powagę niemieckiej nauki. Rozprawialiśmy już wtedy dużo o przyczynach fatalnego wyniku doświadczeń i doszliśmy do wniosku, że zaszła tu albo fatalna pomyłka w szczepieniach, które wykonano nie zapomocą BCG, ale innym szczepem gruźlicy, albo, co gorsza, zrobiono jakieś doświadczenia, nie oparte na poprzedniej kontroli na zwierzętach.

Dochodzenia sądowe, jakie wdrożono i jakie obecnie są prowadzone, niewątpliwie sprawę wyjaśnią. Jedno jest pewnem, że niemieccy lekarze źle przysłużyli się nauce. Nie można się dziwić, że tu i ówdzie obawiać się będą ludzie zastosowania nowej metody, zapobiegani gruźlicy, jak się to zdarzyło przed 40 laty w Rosji, gdzie pierwszorzędna sława prof. Miecznikow, w Odessie musiał pokutować za swych asystentów, którzy zaszczepili mylnie silnym zarazkiem wąglika 5000 owiec i spowodowali, obok ciężkiej straty materjalnej, utratę zaufania do szczepienia zapobiegawczego przeciw wąglikowi. I teraz w Niemczech wstrzymano szczepienia ochronne przeciw gruźlicy zapomocą BCG, jakkolwiek statystyka wszystkich krajów, gdzie się to szczepienie wykonywa, wykazuje widoczny spadek śmiertelności z powodu gruźlicy wśród dzieci ochronnie szczepionych.

Szczepienie to jest zawsze wskazane tam, gdzie w otoczeniu dziecka są osoby chore na otwartą gruźlicę. Samo szczepienie jest zabiegiem prostym, łatwym, bezbolesnym, gdyż polega na podaniu niemowlęciu w napoju drobnej ilości szczepionki BCG. Ale otrzymywanie szczepionki jest wszędzie bardzo ściśle kontrolowane.





Widok na salę rozpraw w Lubece — w czasie toczącego się procesu przeciwko dr. Altstädtowi.

W kole:
W Lubece (Niemcy) toczy się obecnie sensacyjny proces przeciwko lekarzom dr. Deycke i dr. Altstädtowi, którzy stosując szczepienia ochronne przeciw gruźlicy, t zw. systemem Calmetta spowodowali śmierc 75 dzieci. Na zdjęciu obaj oskarżeni prof. Altstädt (po prawej) i prof. Deycke.

Associated Press



Rodzice zmarłych dzieci przysłuchują się procesowi.



Twórcy szczepionki przeciwgruźliczej (od lewej) dr. Gaerin, prof. Calmette, w towarzystwie prof. dr. Bujwida z Krakowa. Zdjęcie dokonane na I-ym Międzynarodowym Zjeździe Mikrobiologów w Paryżu w lipcu 1930 r.

... CUD W PRZECHOWIE.



MATKA BOSKA UKAZUJE SIĘ DWOM DZIEWCZYNKOM.

(Od specjalnego wysłannika „Światowida").

Od dłuższego czasu rozchodziły się po Pomorzu pogłoski o niezwykłym cudzie. Oto w Przechowie pod Świeciem, miała się dwom dziewczynkom ukazać Matka Boska. Fakt ten, który lotem błyskawicy rozniósł się po bliższej i dalszej okolicy, wywołał wszędzie wstrzsające wrażenie. Już dziś do Przechowa spieszą tłumy pątników, aby pomodlić się na cudownem miejscu. Pragnąc rzecz zbadać dokładnie, redakcja „Światowida" wysłała do Przechowa swojego specjalnego wysłannika. Oto jego relacja:

Na miejsce przybyłem o godz. 14-tej i zaraz też wziąłem się skrupulatnie do badania szczegółów. Pogoda, jak na złość, fatalna. Pierwsze kroki kieruję naturalnie do mieszkania dziewczynek, które rzekomo dostąpiły łaski oglądania Panny Najświętszej. Wchodzę do rodziny *Mączkowskich,* mieszkanie schludne, przy kołysce siedzi matka, usypiając niemowlę.

— Czy to pani córeczka ujrzała Matkę Boską? — zapytuję.

— Tak proszę pana, moja *Irenka* istotnie ze swą koleżanką *Stefcią Jurczykowską* widziały jakąś niebiańską postać, od której biły niesamowite jasności. Właśnie Irenka obecnie jest u swej koleżanki. i mają zamiar zanieść na miejsce to kwiaty.

Po chwili jestem już w otoczeniu dziewczynek, które wyglądem swym zrobiły na mniej jak najlepsze wrażenie. Jedenastoletnia Stefcia *Jurczykowska* na moje pytania bardzo rozsądnie odpowiada i widać, że dziecko to do kłamstwa nie byłoby zdolne.

— Widziałyśmy — mówi —rezolutnie Stefcia — naszą Niebiańską Panią, od której jasność biła tak straszliwa, że wprost patrzeć nie mogłyśmy. Od tej pory codziennie Panienka Najświętsza nam się ukazuje, chociaż codziennie w innej postaci, np. wczoraj Matka Boska miała bieluśki na sobie welon i w prawej ręce duży drewniany krzyż, który sięgał aż do ziemi.

Irenka *Mączkowska* jest mniej rozwinięta od swej koleżanki, lecz również z całą stanowczością stwierdza, że ujrzała promieniejącą postać i ze strachu nawet krzyknęła.

Rodzice obojga dziewczątek stwierdzają zgodnie, że dzieci ich dotąd były bardzo spokojne i dobrze się uczyły. Teraz jednak chwili nie chcą usiedzieć w domu, mówiąc, „że ich miejsce jest przy Jasnej Pani i codziennie muszą iść tam i pomodlić się". Rodzice nawet starają się ich odwieść od tych leśnych wycieczek i jak mówią, czegoś się obawiają, żeby nie przytrafiło się dzieciom coś złego. Po wstępnych zapytaniach, proponuję im, żeby udały się ze mną na to „cudowne" miejsce, z czego są niezmiernie uradowane, mówiąc: my tak byśmy chciały stale tam bywać i widzieć cudowną Panienkę". Siadam z dziewczynkami i p. Mączkowską do samochodu. Kiedy znajdujemy się w odległości 50 metrów od cudownego miejsca, nagle krzyk rozdziera powietrze. To Irenka Mączkowska krzyknęła przeraźliwie: „Patrzcie, jaka Piękna, Jasna Pani stoi na tym, co zawsze, miejscu". Zwracamy wszyscy głowy w stronę, gdzie wskazuje dziewczę i widzimy, jak wokół drzew klęczą ludzie, lecz zjawiska nikt poza Stefcią i Irenką nie widzi i kiedy zbliżamy się tuż do samych drzew, dziewczynki nagle klękają, a Irenka z bólem w głosie oświadcza smutnie „że właśnie widziadło w tej chwili zniknęło". Zabieram się do wykonania zdjęć i przyznać muszę, że miejsce to wywarło na mnie jakieś nieokreślone wrażenie. W duchu jednak kiełkuje myśl, że to jest wszystko wyimaginowanie i że to wszystko jest nieprawdą. Wprost nie mogę uwierzyć, żebym tak blisko mógł być miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą Irenka *Mączkowska* widziała Niebiańską Postać *Marji Panny.* To też zakradać mi się zaczynają do głowy różne wątpliwości co do istoty „cudu", tembardziej, że dziewczynki zachowują się na miejscu bardzo swobodnie i wyglądają jakby były zadowolone z tego, że im uwierzono. Odjeżdżając z miejsca, zostawiamy tam kilkadziesiąt osób, które żarliwie się modlą, chcąc również dostąpić łaski ujrzenia Panny Najświętszej. Po odwiezieniu dzieci do domu, pierwszą mą myślą jest jechać do *Świecia* i od władz duchownych otrzymać w tej niezwykłej kwestji wyjaśnienia kapłana i proboszcza tejże parafji. Przyjęli mnie bardzo *sredecznie* wielebny ksiądz dziekan *Konitzer Pawel,* sędziwy kapłan, będący już na parafji w *Świeciu* od kilkunastu lat oraz nie mniej sympatyczny ks. wikary *Neumann Jan,* którzy to dowiedziawszy się o celu mej wizyty, z nadzwyczajną gotowością pospieszyli mi z udzieleniem szczegółów. Zapytany przeze mnie ks. dziekan, co myśli o niezwykłym tym wydarzeniu w *Przechowie,* oświadczył mi, że dotychczas do sprawy tej odnosi się z wielką rezerwą i ostrożnością, niemniej jednak uważa ją za bardzo ważną i przeprowadza z całą skrupulatnością dochodzenia u zainteresowanych osób. Dalej sędziwy ten sługa boży oświadczył, że mimo wszystko nie wyklucza tutaj istotnie jakiejś nadprzyrodzonej Siły, tembardziej, że dotąd poza wspomnianemi dziewczynkami zgłosiło się już na plebanji kilku starszych ludzi którzy, zgodnie z wszyskiemi szczegółami, potwierdzili zeznania *Irenki M. i Stefci J.* I tak kolejarz *F. Stoppel z Przechowa* widział również zjawę Matki Boskiej w bieli, otoczoną niezwykle silną jasnością. Kolejarz ten przechodził tam przypadkowo ze służby dnia 19 bm., a ujrzawszy Jasną Panienkę, z trwogi rzucił się na kolana, a kiedy po chwili spojrzał znowu zjawa znikła. Pani *Piasecka* ze *Świecia* osobiście widziała, jak grupka dzieci z krzykiem, w panicznym strachu rzuciła się na ziemię, krzycząc „o jakaż jasność bije z tego miejsca". Drugi kolejarz, *J. Lis,* oświadczył, że kiedy po pracy poszedł do tego miejsca, ujrzał Matkę Boską w jasnej koronie na głowie, w ręce trzymającą *różaniec.* Wówczas to z płaczem rzucił się na kolana, lecz w tym momencie jasność znikła. Pozatem widziały zjawisko dwie uczennice ze szkoły wydziałowej *w Świeciu, Karaszówna* i *Paterycka,* które również poszły odwiedzić to miejsce. Zaznaczyć tu należy, że są to już starsze dziewczynki, których prawdomówność nie ulega wątpliwości.

Wkońcu dnia 19 bm widziała Matkę Boską niejaka *Szmydtówna* również ze *Świecia.* „Charakterystyczne jest — mówił dalej ks. dziekan — że osoby tu przytoczone, ze sobą się nie znają a w szczegółach zgadzają się co do joty. Również charakterystyczne jest to, że pierwsze objawienie nastąpiło w dniu 7-go bm., t. j. w czasie, kiedy rozpoczynają się odmawiania różańca ku czci Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Co również zwraca wielką uwagę, to fakt, że wszyscy, którzy widzieli zjawę oświadczają zgodnie, że w czwartki i piątki Matka Boska nie pokazuje się. — Kończąc wielebny ks. dziekan oświadczył do mnie: „Proszę pana, choć dziś jeszcze nie mam zupełnej pewności co do istoty tego zjawiska, jednak proszę mi wierzyć, że w dniu wczorajszym *płakałem,* gdym wyczytał wzmianki w prasie że w mej parafji stał się cud, czyżby napradę na moje stare lata Bóg Wszechmogący zesłał mi na parafję Jego Najsłodszą Matkę? Ale nie poddajmy się urojeniom, gdyż o ile istotnie Matka Najświętsza obrała sobie to miejsce, to da nam napewno mocą Swą znać o Sobie". Ze łzami w oczach zakończył czcigodny mój rozmówca naszą rozmowę.

Przyznam się, że już inaczej myślałem gdym wyszedł z domu tego sługi Bożego, jak wówczas, kiedym indagował wyż wymienione dziewczynki w samochodzie. Niezbadane bowiem są wyroki Boskie. Wśród okolicznej ludności krąży na ten temat kilka wersyj, według których ma to być Wola Boża, żeby różaniec odmawiać we wsi *Przechowie,* jak to miało miejsce kilka lat temu, kiedy to *Przechowianie* odmawiali różaniec pod figurą, a którego to zwyczaju zaniechano od kilku lat.

Druga wersja to, że Matka Boska ulitowała się nad mieszkańcami tej wioski, którzy przez wylew Wisły nie mogą uczęszczać do kościoła do *Świecia,* gdyż powódź zalewa wówczas dostęp do miasta i pozbawia ich Słowa Bożego i Swym objawieniem się dała znać, aby na tem miejscu wystawić kościół.

Nie brak też jest sceptyków, oraz niedowiarków, którzy twierdzą, że ktoś w lesie stroi figla, oświetlając miejsce reflektorem lub tp. przyrządami. Twierdzenie to nie wytrzymuje jednak krytyki, gdy się zważy, że niema tam w pobliżu żadnych instalacyj elektrycznych.

A więc zgodnie ze słowami ks. dziekana *Konitzera,* czekajmy aż Matka Boska da swój znak wszystkim, a tymczasem wolno nam wierzyć i nie wierzyć w „cud" ale nie wolno wyszydzać świętych uczuć tamtejszej ludności.

Świecie-Toruń, 20 października 1931.

St. Breliński.

Powyżej:

Wioska Przechowo pod Świeciem na Pomorzu, z której pochodzą dziewczynki Irenka Mączkowska i Stefcia Jurczykowska, którym rzekomo miała się wśród drzew ukazać Matka Boska.



Na prawo:

Widzenie obu dziewczynek, rysunek specjalnego wysłannika „Światowida" p. J. Szancera, odtworzony na podstawie opowiadania Mączkowskiej i Jurczykowskiej.

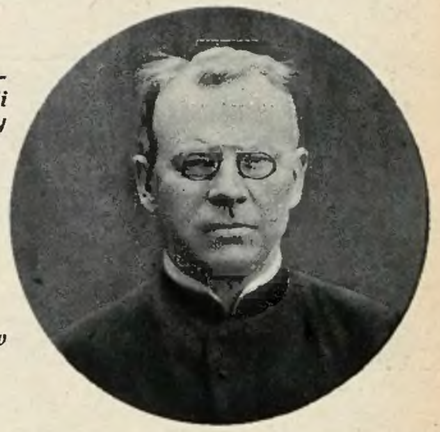
W kole:

Irenka Mączkowska i Stefcia Jurczykowska na miejscu, gdzie miały widzenie Matki Boskiej.



W kole:

Ks. dziekan Paweł Konitzer, proboszcz parafji świeckiej, do której należy Przechowo.



Poniżej:

Kościół parafjalny w Świeciu.

— Zdjęcia Ag. Fot. „Światowida".

ZGON RZEŹBIARZA WELOŃSKIEGO.

Sztuka polska poniosła znów wielką stratę. Oto dnia 21 października b. r. zmarł w Warszawie Pius Weloński, nestor rzeźbiarzy polskich, przeżywszy 82 lat.

Pius Weloński urodził się w 1849 r. w Kumelanach na Suwalszczyźnie. Studja odbył iw Warszawie w szkole rysunkowej, zaś od 1872—75 r. w Petersburgu w Cesarskiej Akademji Sztuk Pęknych. Po otrzymaniu w 1877 r. „Prix de Rome", przebywał przez 6 lat, t. j. do r 1888 we Włoszech. Tam też później osiedlił się. Do najważniejszych jego prac z okresu wczesnego, należą: „Śmierć Akteona", „Wenus" przedstawiająca Amora przed bóstwami Olimpu, a przedewszystkiem „Gladjator" (1880). Ta ostatnia rzeźba przedstawia gladjatora, w momencie. gdy przed wyjściem na arenę zwraca się do cezara z pozdrowieniem: „Ave Cezar morituri te salutant", co znaczy: „Witaj Cezarze, idący na śmierć pozdrawiają cię". Ten gladjator, niezrównany w wyrazie i fakturze, jest też najtęższem dziełem Welońskiego i tego klacyzyzującego kierunku, jaki on w rzeźbie polskiej reprezentuje. Dzieło to bowiem cechuje mistrzowski umiar, znakomite opanowanie formy i monumentalność. Oryginał gladjatora znajduje się w Muzeum Narodowem w Krakowie, a kopja w „Zachęcie" warszawskiej.



Ś. p. Pius Weloński, znakomity rzeźbiarz zmarł dnia 21-go b. m. w Warszawie.

Z ważniejszych pomników, zaprojektowanych przez Welońskiego wymienić należy: pomnik Jędrzeja Śniadeckiego w kościele PP. Wizytek w Warszawie, pomnik ks. biskupa M. Nowodworskiego w katedrze płockiej i pomnik Zaleskiego na plantach w Krakowie.

W Częstochowie obok klasztoru Jasnogórskiego znajduje się 14 stacyj Męki Pańskiej, zaprojektowanych przez Welońskiego.

Weloński nietylko rzeźbił, ale i malował. Obrazów tych jednak niewiele. Za najlepszy z nich uważane są „Błędne ogniki" (u hr Potockich w Krzeszowicach).

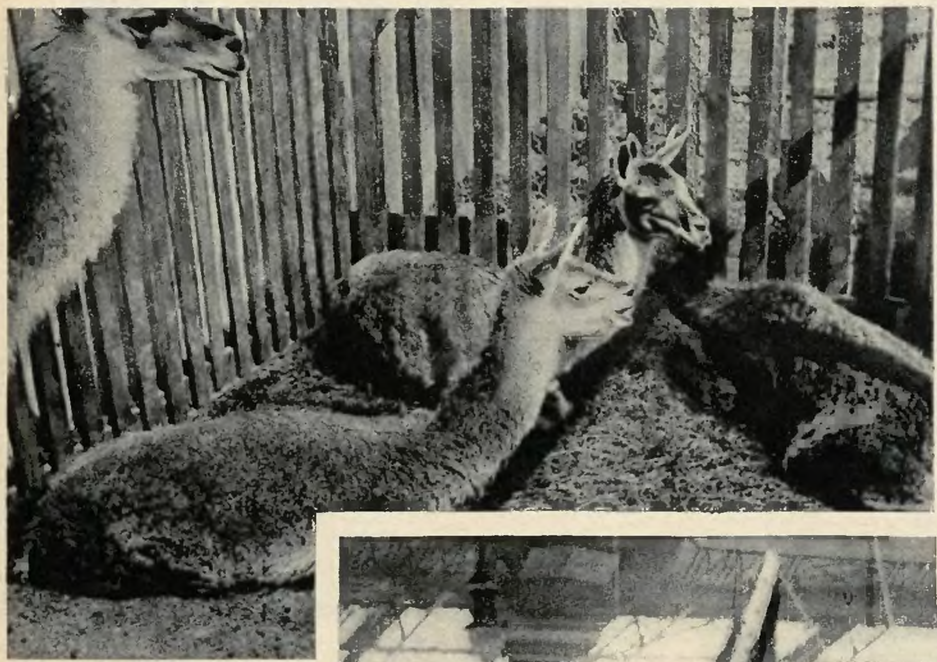
Ostatnie lata swojego życia spędził Weloński w Warszawie. Stolica też uczciła jego zasługi artystyczne, przyznając mu przed kilku laty nagrodę artystyczną m. Warszawy.

m. d.

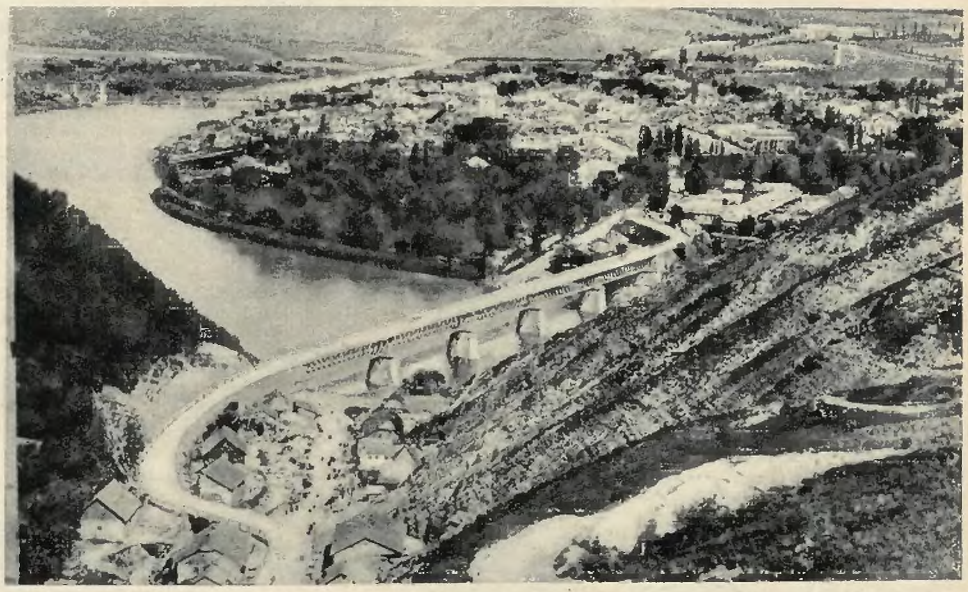


Jedna ze stacyj Męki Pańskiej w Częstochowie, dzieło Welońskiego.

ROZMAITOŚCI.



Wielbłądy Ameryki — to lamy, zamieszkujące płaskowyże i góry Ameryki południowej. Od dawien dawna, jeszcze na długo przed przybyciem odkrywców europejskich, udomowiono je i posługiwano się niemi jako zwierzętami pociągowemi — względnie jucznemi. W gospodarstwie człowieka Nowego Świata grają taką rolę jak wielbłądy w Azji i Afryce.



Na pograniczu polsko-rumuńskiem. Podróż Marszałka Piłsudskiego do Rumunji zwróciła uwagę całej Polski na ten kraj, będący naszym sojusznikiem. Zdjęcie nasze przedstawia most na Dniestrze, łączący Polskę i Rumunję. Przy moście tym leżą Zaleszczyki, najbardziej słoneczna miejscowość w całej Polsce, słynna z hodowli moreli.



Obok:

Pokaz najszybszych maszyn. W Olimpji w Londynie odbywa się obecnie wystawa lotniczo-samochodowa. Anglicy dumni z posiadania światowych rekordów szybkości w jeździe łodzią motorową, aeroplanem i autem, wystawili na tym pokazie wszystkie trzy maszyny, na których zdobyli rekordy. Na zdjęciu u góry: hydroplan Lt. Stainforth'a, u dołu: łódź „Miss England II", a obok „Błękitny ptak", automobil Camphella.

Poniżej:

Zbieracz autografów. Niezmordowanym zbieraczem autografów jest Kroat, Józef Mikulec, obywatel Stanów Zjedn. Od 30-tu lat wędruje on po całym świecie, popychając przed sobą wózek, na którym spoczywa olbrzymia księga, ważąca 25 klg. W księdze tej wpisują się najrozmaitsze osobistości mniej lub więcej sławne. Mikulec chlubi się, że ma już w swej księdze autografy pięciu królów, 13-tu prezydentów itd. Obecnie przebywa on w Berlinie, gdzie zabiega o podpis prezydenta Hindenburga.



Fot. New York Times.

Poniżej:

Błyskawiczny wymiar sprawiedliwości. — Głośnem echem odbija się w całej Ameryce zbrodnia popełniona w miejscowości Ypsilanti na pewnym studencie przez trzech notorycznych zbrodniarzy: Franka Olivera, Freda Smitha, i Natana Black'a (na zdjęciu). Przychwyceni, przyznali się o winy. Pomiędzy przyznaniem się do winy a skazaniem ich na karę dożywotniego więzienia upłynęło tylko 6 godzin. — Uniknęli tylko dlatego krzesła elektrycznego, gdyż w stanie Michigan kara śmierci została zniesiona.

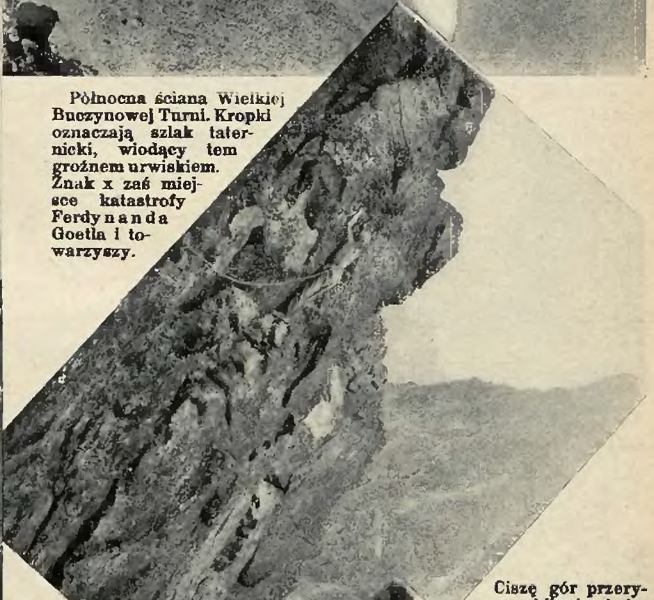


ZDOBYCIE PÓŁNOCNEJ ŚCIANY
BUCZYNOWEJ TURNI.





Północna ściana Wielkiej Buczynowej Turni. Kropki oznaczają szlak taternicki, wiodący tem groźnem urwiskiem. Znak x zaś miejsce katastrofy Ferdynanda Goetla i towarzyszy.



Ciszę gór przerywa wbijanie haka w urwisko.

Na lewo: Widok ze ścian Buczynowej Turni na Hruby Wierk i Wielki Staw.



Przepaścisty, trudny trawers u stóp ściany.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA — FOT. PARYSKI.

Nad Halą Gąsienicową świta — trzeba wstawać, jeśli mamy i dziś jeszcze iść na wspinaczkę. Chłodny poranek rozgrzewa i przyspiesza ruchy. Za ³/₄ godziny już nas niema w schronisku.

Mokrą, leśną ścieżką — wśród borowin, mchów i paproci — wydostajemy się na szerokie, piaszczyste zbocza Żółtej Turni. Dzień narzuca pośpiech. Szybko docieramy do Doliny Pańszczycy.

Jest jeszcze wcześnie, więc turystów mało. Mur skalny nad doliną: ciemny w cieniu. W pośrodku tego muru — najbardziej majestatycznie — rysuje się wyniosła baszta skalna: Wielka Buczynowa Turnia. Potężnie piętrzy się przed nami jej północna ściana: mroźna, u dołu ścięta w potężne płyty, u góry zato potrzaskana w świeże, białe oberwiska. Tę ścianę zaatakujemy!

— Wiesz Fred — mówię bratu — musimy w tej ścianie znaleźć własną, nową drogę!

— Naturalnie!

Podchodźmy. Patrzymy na urwisko: którędy zechcemy, aby nas puściło? Tutaj! Owszem. Wszystko odbywa się według programu. Trzewiczki na nogach, lina zawiązana w pasie, haki u boku, na szyi młotek. Można już iść? Można!

Nietrudny, sypiący się żleb, potem trawers w lewo do wybitnego rynnowatego komina, mocno wgłębionego w ścianę i śmigającego wysoko wgórę aż ku podszczytowym urwiskom.

W kominie najpierw śnieg. Twardy, zlodowaciały — dar zimy i chłodów letnich. Trzeba bić stopnie, asekurując się troskliwie na wysterkach skalnych, któremi zrzadka jeżą się, gładkie zresztą, boczne ściany komina. Śnieg prowadzi ku końcowi do bocznej, ślepo zakończonej odnogi. A więc trzeba wykonać drugi trawers: ostrożnie, grzbietem śniegu, przesuwając się w lewo do głównego komina. Pomiędzy śniegiem a skałą, głęboką — jak zwykle — odparzelina: przesuwanie się okrakiem po ostrej, łamliwej krawędzi jest więc niemiłe i niebezpieczne.

Wyżej już wierna skała — ale jaka? Krucha i zdradziecka. Komin uskakuje ku górze mokremi, przewieszonemi progami. Szereg sypiących się przewieszek, spiętrzonych jedna nad drugą: dość trudna przewieszka — trudna przewieszka — bardzo trudna przewieszka. Wspinamy się uważnie i celowo. Już słychać huk młotka, wbijającego ubezpieczający hak w urwisko.

Jesteśmy szczęśliwi. — W dolinie kładą się piargi coraz niżej i równiej, w miarę jak (wyrażając się fachowo) „zyskujemy na wysokości", słońce rozżarza Czerwony Staw w Pańszczycy — do nas nie może dotrzeć, w te głuche, omszałe piwnice (pleśń wilgoci i starych, zmurszałych skał).

Znajdujemy się w terenie dziewiczym, gdzie przed nami nie szedł jeszcze żaden człowiek. Potem dochodzimy do drogi, którą już przed wojną wspinał się — ze swymi towarzyszami — Ferdynand Goetel, dzisiejszy znakomity pisarz. Nieco powyżej nas, nastąpiła wówczas katastrofa. Turyści spadli, jeden z nich zginął na miejscu. Goetla, ciężko potłuczonego w głowę, wyratowała ekspedycja ratownicza. Oglądamy uważnie miejsce wypadku, lecz mijamy je szybko, gdyż bardzo tu krucho i niebezpiecznie. Masy luźnego gruzu czyhają tylko, żeby się zgóry potoczyć na zuchwałego turystę. Teraz unikamy na szczęście przygody, ale w niewiele minut po naszem przejściu chowa nas pod naturalne schrony złowieszczy huk: to poszła lawina kamienna, dopiero co opuszczonym terenem...

Wspinaczka trwa, ściana kurczy się w oczach i w mięśniach, aż wreszcie wyłaniamy się z mrocznych urwisk i lądujmy na bocznem żeberku, którem już łatwo osiągamy szczyt. Program wykonany; jeszcze jedną zdobycz skalną notujemy w swym dorobku. Na wierzchołku czeka nas nagroda: dwie miłe, znajome turystki, które tu przyszły od strony Orlej Perci.

Wieczorem, o sennym, czarującym zachodzie, schodzimy na południe.

J. A. Szczepański.

HISZPANJA KROCZY NA LEWO.



Na lewo: Wskutek uchwalenia rozdziału kościoła od państwa ustąpił dotychczasowy prezes Rady ministrów Zamorra, a miejsce jego zajął Azana. Na zdjęciu widzimy go w towarzystwie nuncjusza papieskiego kard. Tedeschini, który Hiszpanji zagroził zerwaniem stosunków dyplomatycznych. Trampus — Paris.



Poniżej: W tych dniach przyszło do strzelaniny pomiędzy komunistami a policją w Gilena pod Sewillą, przyczem z obu stron byli zabici i ranni. Zdjęcie przedstawia komunistów zastrzelonych przez policjantów. C. Delius — Nice.

Hiszpanja stoi dalej w centrum zainteresowań europejskich ze względu na szybkie przemiany, jakie zachodzą w tej młodej republice. Wybory do parlamentu, czyli do t. zw. Cortezów, stwierdziły, że żywioły lewicowe są silniejsze w Hiszpanji, niż przypuszczali pesymiści, uważający nastroje demokratyczne w Hiszpanji za zjawisko przejściowe. Parlament hiszpański skoncentrował całą swoją pracę koło stworzenia nowej konstytucji, która rodzi się powoli przy akompanjamencie wielkiego podniecenia i awantur. Ona to właśnie spowodowała ustąpienie pierwszego republikańskiego premjera, który według powszechnej opinji miał wielkie szanse pozostania prezydentem republiki — ministra Alcali Zamory

Konstytucja hiszpańska poza paragrafami postanawiającemi, n. p., że język hiszpański jest językiem powszechnym i niejako nadrzędnym, posiada paragrafy o wybitnie skrajnej tendencji. Do nich należą przedewszystkiem punkty stwierdzające, że niema żadnego wyznania uprzywilejowanego i że wszystkie wyznania są równe w państwie hiszpańskiem. W praktyce oznacza to rozdział Kościoła od państwa, a co dalej idzie, rozbrat pomiędzy państwem a wszechmocnym klerem hiszpańskim.

Ażeby uprzytomnić sobie, jak wielka była potęga duchowieństwa w Hiszpanji, wystarczy przytoczyć, że liczba samych mniszek w Hiszpanji wynosiła 35.000, a mniców 15.000. W rękach kleru znajdowało się 50% szkół, zakładów wychowawczych, szpitali itd. Niewiadomo więc, co pocznie państwo hiszpańskie po usunięciu kleru od czynności wychowawczo-charytatywnych i czy potrafi wypełnić lukę, jaka powstaje przez zdecydowany rozbrat z Kościołem katolickim. Co więcej, radykalizm hiszpański zdecydował się na usunięcie Zakonu Jezuitów, który właśnie został założony na ziemi hiszpańskiej przez człowieka żelaznej woli: św. Ignacego Lojolę. Zakon Jezuitów posiadał w Hiszpanji szereg pierwszorzędnych przedstawicieli zarówno organizatorów jak i myślicieli i on to szedł za conquistadorami hiszpańskimi do Ameryki południowej. Obecne więc zarządzenie kasaty zakonu Jezuitów jest niesłychanie drastyczne i świadczy, że Hiszpanja wzięła kurs na lewo „na pełną parę".

Drugim takim ważnym punktem konstytucji hiszpańskiej jest wprowadzenie rozwodów. Według par. 41 nowej konstytucji rozwody są dopuszczalne za zgodą stron obu, względnie za wniesieniem jednej ze stron z podaniem słusznych powodów. Konstytucja hiszpańska stwierdza dalej w tym paragrafie, że dzieci notowane są w rejestrze cywilnym bez różnicy i bez podania, czy pochodzą one z prawego, czy z nieprawego łoża. Wszystko to świadczy o tem, że nowa konstytucja hiszpańska przesiąknięta jest tendencjami socjalnemi, o zabarwieniu wybitnie lewicowem.

Nie trzeba jednak sądzić, że ten poród konstytucji hiszpańskiej jest lekkim. Jak już powiedzieliśmy, odbywa się on w atmosferze powszechnego niepokoju. Na prowincji, a zwłaszcza w okręgu Granady wybuchają raz po raz strajki robotnicze, które reżyseruje potężny związek robotniczy, t. zw. Sindicato Unico. Żywioły konserwatywne i monarchistyczne bynajmniej nie dały za wygraną i przygotowują się do wzmożonej akcji, gdy tylko republika przejdzie okres swoich pierwszych upojeń. Nie wiadomo też, jak będzie załatwiony statut dla poszczególnych republik, wchodzących w skład federacji liberyjskiej — zarówno wśród Basków, jak i w Barcelonie działają dalej siły odśrodkowe, które przyczynią niewątpliwie jeszcze sporo kłopotu rządowi centralnemu. Słaba pozycja pesety, upadłości szeregu banków, nasilenie komunizmu, redukcje w wojsku, powodujące wzrost bezrobocia wśród świadomej inteligencji — wszystko to stanowi przygrywkę mało wesołą dla miodowych miesięcy republiki hiszpańskiej. Jest rzeczą możliwą, że republika hiszpańska wybrnie cało z tych opresyj i że wzmocni się w swojem dalszem życiu, jak również jest możliwem, że niedługo przyjdzie silna reakcja, która wyniesie na wierzch siły sprzyjające restauracji monarchji.

z. g.









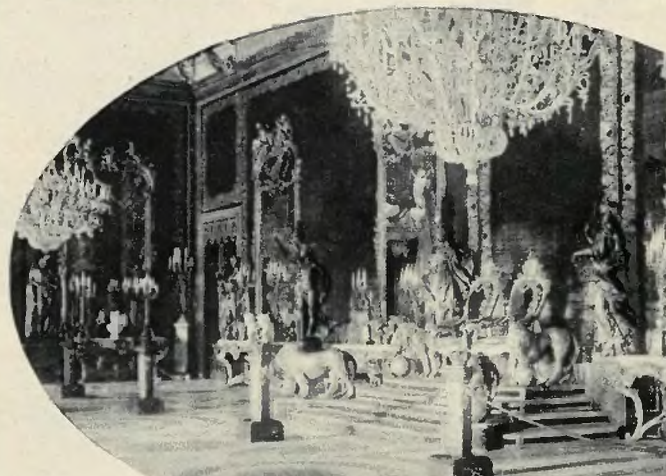




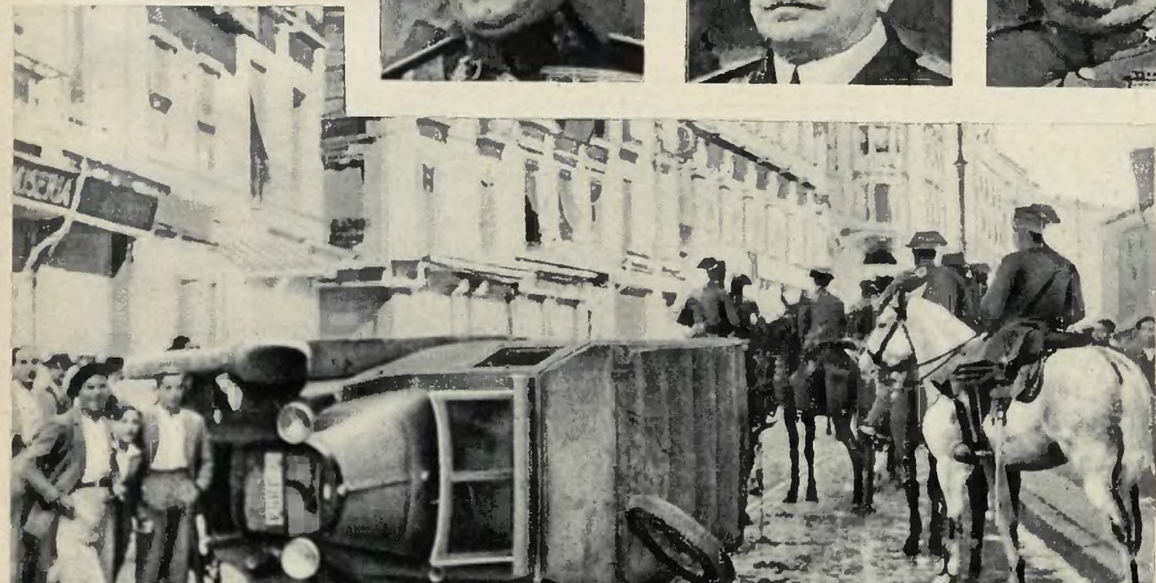




Wszyscy ci, którzy byli podporami dyktatury w Hiszpanji, dostali się obecnie do więzienia i staną przed specjalnym sądem. Nie ulega wątpliwości, że wobec panujących obecnie nastrojów w Hiszpanji, powędrują oni na długie lata do więzienia a wielu z nich stanie pod słupkiem. Są to: 1) gen. Ardanaz, min. wojny w rządzie Primo de Rivero, 2) gen. Cavalcanti. 3) Markiz de Magaz, b. prezydent Rady woj. i admirał, 4) S. Ponte, b. minister sprawiedliwości, 5) gen. Jordana, 6) gen. Martinez, zwany mieczem i batem Rivery, 7) admirał Cornejo, b. minister marynarki, 8) gen. Federico Berenguer, dyktator i następca Primo de Rivero. Majątki wyżej wymienionych zostały skonfiskowane. Associated Press.



W owalu: Opustoszały tron królewski w Palacio Real w Madrycie. Monarchiści przypuszczają, że niebawem zasiądzie znowu na nim Alfons XIII, lub jego prawowity następca. C. Delius — Nice.



Poniżej: Rozruchy są teraz na porządku dziennym we wszystkich miastach Hiszpanji. Na zdjęciu przewrócony autobus przez demonstrantów w Granadzie. C. Delius — Nice.

MAGDALENA SAMOZWANIEC (Kraków).

„Pod stratosferą siedzi moja Masza..."

Śpiewają w warszawskim teatrzyku „Banda", pełnym codzień po brzegi, kpiąc sobie z obecnej ciężkiej sytuacji finansowo-teatralnej. Duch Warszawy z syrenim ogonem i syrenim głosem (taksówek) dziwnie lekko i wesoło bierze ponure słowo „kryzys", szeleszczące równie niemiło, jak skrawek papieru zwany „sądówką" (sądówka, samiczka od „protestu"). Publiczność warszawska też optymistycznie działa na przybysza z Krakowa, który w swem rodzinnem mieście widzi same przedśmiertne maski, pełne bólu i walki o but i pończochę. „Jeszcze polka nie zginęła" ma się ochotę zawołać z radością, idąc w południe Nowym Światem i widząc prawdziwe zadarte nosy Warszawianek, sterczące nad podniesionym kołnierzem futrzanym. Żydzi też są jacyś inni w tem wesołem mieście, promienni, zadowoleni z siebie i obecnej sytuacji. Któregoś dnia jeden sympatyczny znajomy neofita przytrzymał mnie na ulicy Mazowieckiej i rzekł, a oczy jego błyszczały szczerą radością życia: „Proszę pani, co za cudowne czasy, funt leci, trzeba kupować funty, można zrobić majątek". Jego żona, śliczna o bujnych obfitościach ciała, neobfitka, wzięła mnie pod ramię i szepnęła tajemniczo: „Czy pani wie, że mam teraz nowego flirta, młody, bardzo przystojny, bogaty!" Słowo „bogaty" wypowiedziane było o trzy tony wyżej niż poprzednie, a ręka miłej neobfitki przycisnęła moje ramię entuzjastycznie do swojego wzdętego uczuciem serca. Mnie też ogarnął wesoły entuzjazm, więc są jeszcze bogaci ludzie w Polsce, można zatem zaśpiewać jak w starej wiedeńskiej operetce „Polenblut": „Wenn es noch solche Maenner gibt, ist Polen nicht verloren". W poczciwej Warszawie są jeszcze ludzie, którzy mają, albo też udają, że mają pieniądze. Z tem udawaniem nie jest wcale taki głupi trick, jakby to się wydawało, zawsześmy słyszeli, że jak ktoś naprzykład udaje dobrego, będąc z natury złym i zgryźliwym, to wkońcu tak się do tego przyzwyczai, że naprawdę staje się dobrym; to samo musi się dziać z ludźmi, udającymi bogatych. Pozatem Los, znany przekora i tuman, da się przez takiego nabrać i nasunie mu z czasem jakiś dobry interes myśląc (idiota), że pieniądze nie są mu już wcale potrzebne. Najgorszy system jest udawać biedniejszego, niż się jest, wtedy Los napewno takiemu nie pójdzie na rękę. W Warszawie wszyscy jakoś ciągle mają pieniądze, w przeciwieństwie do zgnębionego Krakowa (w każdym razie wszyscy bliżsi i dalsi znajomi), najlepszym dowodem na to są warszawskie dancingi, zawsze pełne, a przedewszystkiem „klejnot Warszawy" — „Adrja", której warto poświęcić słów kilka.

Takiej „Adrji" niema nigdzie na świecie, gdzieby można było przesiedzieć całą noc o głodzie i filiżance



Magdalena Samozwaniec, świetna feljetonistka, debiutuje w „Światowidzie".

czarnej kawy. W Paryżu taki sam dancing zaprowadziłby natychmiast „Champagne obligatoire", albo przynajmniej „Choucroutte obligatoire" tak, jak w restauracyjkach na Wystawie Kolonialnej. To też od godziny dwunastej w nocy wszystkie stoliki w sympatycznej Adrji są tak szczelnie zajęte, że można tam conajwyżej nos wściubić; o wściubieniu (trudne słowo) całej swojej postaci, niema co marzyć, chyba, że się jest jakąś personą gratą (po polsku: znanym gratem), albo że się poprzednio zamówiło telefonicznie stolik.

Pozatem dla Krakowianki, która w Krakowie prawie mężczyzn nie widuje, niesłychana ilość męskich postaci, z nosami garbatemi od urodzenia, lub też o zanikającym wiejskim typie, robi wprost wstrząsające wrażenie. Dawid Gold (największy finansista warszawski) i pan Petersburski rżną od ucha do ucha, narodowe polskie tańce, to znaczy oberka i tango. Cudzoziemcy, siedzący przy stolikach i wyglądający jak czarne muchy dookoła różowego ciastka (jednej zwykle, ładnej pani) z utęsknieniem czekają, kiedy orkiestra zagra nareszcie, tak dużo zagranicą granego foxtrotta lub slow-foxa. Ale próżne są ich nadzieje; foxtrotta można w Warszawie tańczyć u siebie w domu, przy gramofonie, na dancingu słyszy się go tylko przy produkcjach. Produkcje, to czarna strona warszawskich dancingów, które niewiadomo komu mają robić przyjemność. Oto dźwięk gongu, na salę wpadają dwaj marynarze, z marynarki Powiślańskiej, dwa dziewczątka o charakterystycznym typie żydowskich marynarzy. Rozkoszny ten drobiazg, staje na głowie, potem na nogach, potem na drodze jedna drugiej, przyczem zwolna przemieniają się z marynarzy w kominiarzy, wkońcu wśród uroczych podskoków, figlarna marynarka znika, za tęgą postacią mistrza Golda — i znów gong — Dawid Gold podnosi pałeczkę do góry, sępi wzrok i orli nos skierowuje w stronę swojej muzykalnej trzódki i po sali rozchodzi się w smętnych falach „Perski Jarmark". Tancerka wschodnia, ubrana mniej więcej tak, jak osoba „myjąca się do połowy", przebiega wpierw drobnym truchcikiem salę, jak konik w Cyrku, który dopiero za chwilę pokaże, co potrafi. Potem zwolna siada na środku sali (cisza — nikt nie śmie odetchnąć, siadanie na ziemi tylko dla zwykłych śmiertelników jest rzeczą łatwą) przegina się w tył, dotykając „tylnią przysadką mózgową" posadzki i dla odmiany pochyla się wprzód, ustami dotykając matki-podłogi, powtarza to kilka razy, poczem robiąc po drodze (wciąż do taktu „Jarmarku") pięć minut dla zdrowia dr Müllera, wybiega ścigana gorącemi oklaskami starych profesorów. Po müllerowskich wyczynach wschodniej tancerki — pauza — publiczność łudzi się przez chwilę, że będzie nareszcie mogła zatańczyć, panowie wstają, poważnie zapinając marynarki, panie zrzucają z siebie z wdziękiem drogocenne krótkie futerka („chien, genre chat"), ale „zawcześnie kwiatku, zawcześnie". Uderzenie gongu, poczem dają się słyszeć pierwsze takty tańca hiszpańskiego Moszkowskiego (żaden podobno krewny dyrektora „Adrji" Moszkowicza) i na salę wkracza dumnie... no kto? — kto może wkroczyć dumnie na warszawską dancingową salę, jak nie hiszpańska tancerka. Hiszpanka — „Andalouse au sein bruni" (miasto rodzinne Kłaj, wyznanie obojętne wszystkim), spowita jest cała w czarne koronki, na głowie ma grzebień, zdradzający manję wielkości i mantylę. Hiszpanka staje na środku sali, zaciska pięści i zaczyna tupać, prawdopodobnie ze złości, bo jej może zamało płacą. Jakże mądre było nazwanie wojennej grypy: „hiszpanką", te hiszpanki w dancingach warszawskich, to prawdziwe choroby. Po produkcji hiszpańskiej wpada jeszcze na salę „biedny mały gigolo", tęgie chłopisko, zbudowane na schwał, w spodniach o węgierskich motywach i koszuli, która ma „des manches a gigots" (z powodu których ośmieliłam się go nazwać jak wyżej), z nim razem wpada na salę odpowiednia do niego partnerka-żigolaczka (określenie, słyszane w teatrzyku „Banda"). Dzielna ta i pełna werwy para ugania po sali w dzikim tempie, podnosząc tumany kurzu z podłogi. Po skończonych produkcjach, zaczyna się dopiero prawdziwa zabawa, która żywo przypomina chłopskie wesele. Muzyka rżnie oberka, Gold (robiąc nastrój) porywa urżniętego starszego myśliciela, który ciągle poprzednio przeszkadzał występującym parom, w objęcia i okręca go w kółko, przy frenetycznych brawach publiczności. Cudzoziemcy zniechęceni — wstają i odchodzą, myśląc może tak jak jeden mędrzec, że „życie byłoby znośne, gdyby nie przyjemności". Tak mniej więcej wygląda kryzysowa Warszawa. To jest Warszawa! Ca c'est Varsovie!

ŚWIĘTY PATRON KNIEI. HUBERT





Z miotu w miot jedzie myśliwy i radość promienieje z jego twarzy.

LISTOPAD

Na łów, na łów, na łowy,
Do zielonej dąbrowy,
Towarzyszu mój!

Puszczaj charty ze smyczą
Niech sobola pochwycą
Towarzyszu mój!

Dnia 3 listopada przypada św. Huberta, patrona myśliwych.

Św. Hubert, późniejszy biskup w Leodjum, który żył na początku VIII w., był rycerzem na dworze króla Frankońskiego, Teodoryka. Uprawiał on namiętnie łowiectwo. Kiedy razu pewnego w niedzielę, jeszcze jako poganin, udał się do kniei na polowanie z ogarami, nagle w uroczysku ukazał mu się wspaniały jeleń z krzyżem w wieńcach, świecącym przedziwnym blaskiem. Św. Hubert ukląkł przed tem cudownem zjawiskiem, nawrócił się, przyjął wiarę chrześcijańską, został kapłanem, a po śmierci kanonizowano go za patrona myśliwych.

We Francji dzień jego jest otwarciem polowań par force, które gromadzą elitę towarzyską z całego kraju. — W Polsce św. Huberta obchodzi się skromniej. Myśliwi wyruszają na polowanie i cieszą się, że sezon myśliwski zaczyna się.

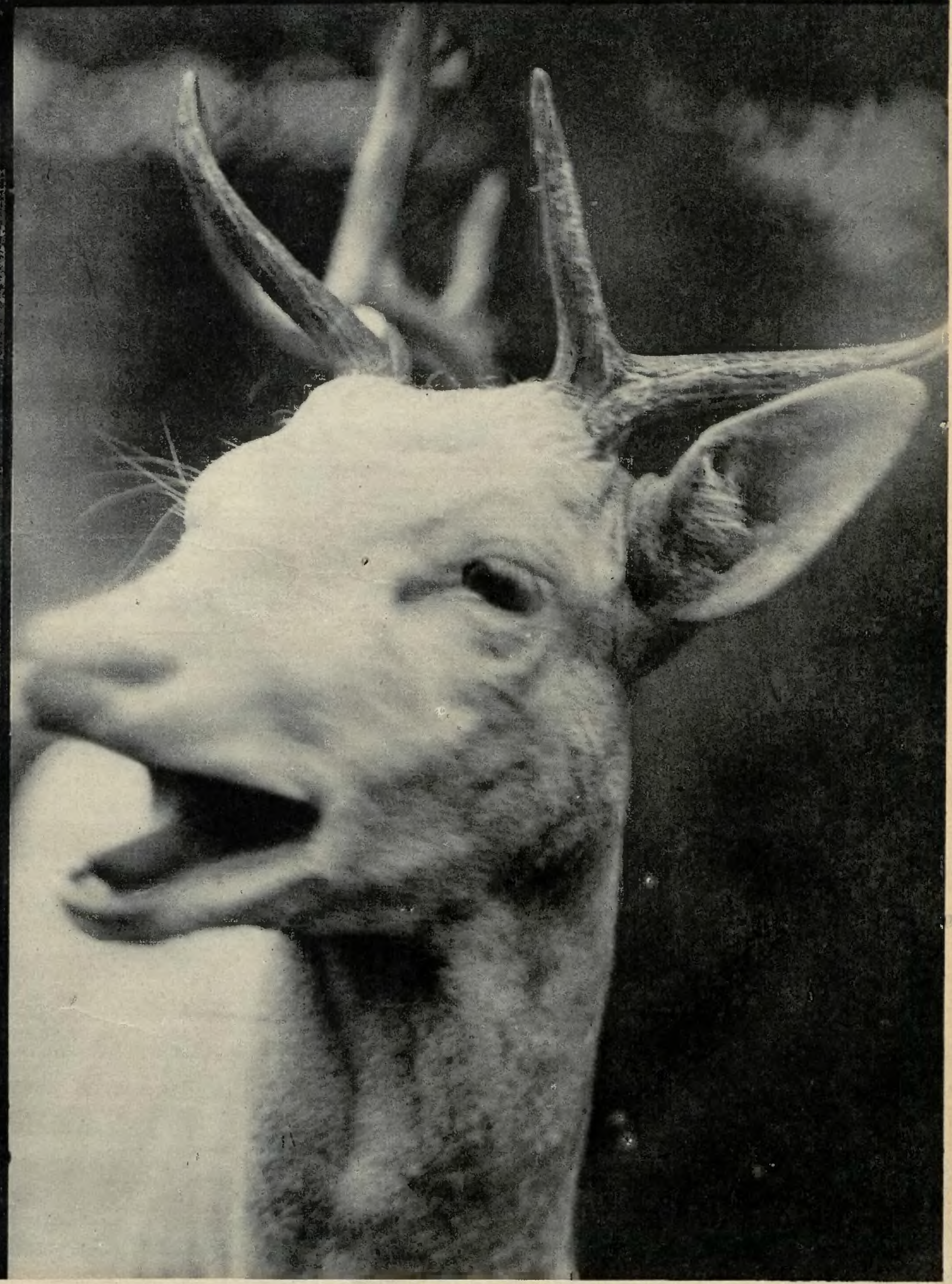
W ostatnich czasach daje się zauważyć wprost żywiołowy rozwój łowiectwa w naszym kraju. O ile do niedawna jeszcze polowali wyłącznie magnaci i właściciele wielkich obszarów ziemskich, oraz inteligencja, to teraz łowiectwo zdemokratyzowało się zupełnie, gdyż bardzo często polowania należą do spółek włościańskich.

Przetrzebiony wskutek wojny zwierzostan, w ciągu ostatnich lat bardzo się poprawił. Jeszcze nigdy nie było tyle zajęcy, kur i kaczek, co obecnie. Gruby zwierz, jak niedźwiedź, jeleń, łoś i ryś są także w poszanowaniu. Jest to wszystko zasługą nowej ustawy łowieckiej, nad której wprowadzeniem w życie pracował niezmordowanie zmarły przedwcześnie i tragicznie śp. Juljan Ejsmond, który był referentem łowieckim w Ministerstwie rolnictwa. To też w dniu św. Huberta godzi się wspomnieć o nim, nie tylko jako o niezrównanym piewcy polskich kniei, ale także jako o tym, któremu łowiectwo polskie zawdzięcza swoje odrodzenie.

Dziś Polska, jako niezrównany teren łowiecki, znana jest w całej Europie i odwiedzana przez cudzoziemców, którzy spragnieni egzotycznych dreszczów, znajdują na Polesiu, czy w Karpatach rewiry łowieckie, jakich już niema nigdzie na Zachodzie.

Cześć i pozdrowienie Braciom z pod znaku św. Huberta!

K. Sz.



Na lewo: Jeleń w kniei karpackiej.

Na prawo: Głowa białego jelenia. Według legendy taki właśnie jeleń ukazał się św. Hubertowi, Patronowi myślistwa.

Laval przybył do Ameryki.

Na pokładzie wielkiego parowca oceanicznego „Ile de France“ przejechał premjer francuski Laval do Nowego Jorku, gdzie zgotowano na jego cześć iście królewskie przyjęcie. Nic w tem dziwnego, jeżeli się zważy, że od konferencji pomiędzy prezydentem Hooveren a Lavalem zależą losy może nietylko Europy, ale i świata. Dwie największe potęgi finansowe chwili obecnej radzić będą nad losami skłóconego świata, pogrążonego w otchłani kryzysu ekonomicznego.

Premjer Laval po przyjęciu w Nowym Jorku, wyjeżdża natychmiast do Waszyngtonu, gdzie odbędą się konferencje z prez. Hooverem, konferencje zupełnie poufne. Eksperci finansowi obradować będą osobno. Potem wyjeżdża premjer Laval do Filadelfji, gdzie będzie przyjmowany przez kolonję francuską.

Na koszta podróży premjera Lavala wyasygnowano kwotę 400.000 franków. W podróży towarzyszy premjerowi jego córka p. Josette Laval, licząca lat 19, która poraz pierwszy odbywa tak daleką podróż. P. Laval uważa swój wyjazd za „wielkie zwycięstwo dyplomatyczne nad własnym papą“ — jak to nazwała w wywiadzie z jednym z reporterów angielskich.

Wynik konferencji Hoover-Laval oczekiwany jest z napięciem przez cały świat. *z. g.*



Obok: Premjer Laval spaceruje ze swoją córką przy słonecznej pogodzie na pokładzie parowca „Ile de France“.

Poniżej: Wielki statek oceaniczny „Ile de France“ widziany z pokładu statku atlantyckiego „Paris“, mija „Paris“ w drodze do Nowego Jorku. Wide World-Ph. Paris.



Listy z Paryża.

TRAGICZNA PIOSENKA PARYŻA.

Jeden z licznych teatrzyków rewjowo-music-hallowo-piosenkarskich, jeden z tych właśnie, które z racji potężnych rewij wielkich teatrów i wielkich kin przechodzą silny kryzys. Ale tym razem sala natłoczona. Na afiszach wielkie litery:

„DAMIA“.

Śpiewaczka Damia — wcielenie tragicznej piosenki paryskiej. Piosenki, zarówno ze względu na treść, jak na interpretację, zanikającej coraz więcej na korzyść szlagierów komicznych i kupletów politycznych. Gdy się rozejrzy wśród tak licznej gromady śpiewaków Paryża, kto pozostał z niezłomnej grupy, propagującej silną pieśń, smutną jak życie, tragiczną jak miłość? — Tylko Damia.

Od wielu lat ze scen i nadscenek, daleko zawsze od wielkich teatrów, narzucających swój motyw, od wielkich sal, błyszczących humorem naładowanych portfeli, śpiewa Damia, postać tragiczna, w czarnej sukni, z gestem klasycznego smutku, z oczyma zamglonemi, śpiewa najpiękniejszym z głosów, altem, zaprawionym paryską, wspaniałą manierą deklamacji śpiewanej, głosem, który wywołuje dreszcz wzruszenia swą głębią i tą specjalną interpretacją, zduszoną, zachrypniętą, tragiczną.

Sala rozbrzmiewa od oklasków, krzyczy tytuły ulubionych pieśni. Trzy piosenki były w programie, ale Damia nie może zejść ze sceny: śpiewa i śpiewa piosenkę za piosenką.

A jej piosenki, to miłość zawiedziona, to elegja nad ukochanym topielcem ze studni, to pieśń szalonej wdowy, to modlitwa grozy przed śmiercią lub modlitwa lęku przed życiem. Nie opuszcza ona tych tematów, w których objęła całą właściwą wartość życia, to znaczy jego tragizm, zakończony śmiercią, tragizm, jakże potęgowany przez złudę tego, co często wydaje się najpiękniejszem i najświętszem: miłości.

W ostatnim sezonie Damia dwa razy zeszła ze scenek teatrzyków o charakterze dawnych „cafés-concert“ przed jupitery i mikrofony filmowe. Zagrała w dwu filmach: „Zapomnisz o mnie“ i „Sola“. W tym drugim zwłaszcza miała rolę taką, jaką jest jej życie: rolę śpiewaczki, którą los rzuca jak chce, której wszystkiem jest jej piosenka.

Film ten tragiczny pokazuje nam człowieka, który oszalał, słuchając długo w samotności egzotycznej wyprawy jej piosenki na płycie gramofonowej. Piosenki „Tu ne sais pas aimer“, „Nie umiesz kochać“, piosenki dziwnej, przejmująco smutnej, którą, jak często jeszcze przyjdzie sobie przypomnieć w życiu?



Słynna śpiewaczka paryska Damia.

Naturalnie sala krzyczy:

— „Tu ne sais pas aimer!...“

I Damia śpiewa swą czołową piosenkę. To nie jest prosta pieśń miłości zawiedzionej, zgaszonej przez głupie wymagania życia, przez jego konwenans, czy przez zbyt szybki przelot uczuć w sercu. To jest piosenka, która usprawiedliwia i przebacza, piosenka, która rozumie w męce, że musi być tak, jak jest, bo to jest życie.

W skupioną salę, w mrok płyną słowa:

„Tu ne sais pas aimer, tu ne sais pas,
en vain, je tends les bras,
je cherche une âme au fond de tes grands yeux —
une âme — et ne vois rien qu'un peu de bleu...“

Jak smutno przetłómaczyć sobie te prawdziwe słowa...

„Nie umiesz kochać, nie...
naprózno śnię,
naprózno ujrzeć chcę
w słonecznych oczach twych
duszy choć skrę,
choć skrę...
nie widzę nic, prócz barwy ich...“

I taka piosenka prześladuje wszędzie... W teatrze, w kinie, w kawiarni, gdzie gra ją orkiestra, u znajomych, gdzie grają ją na patefonie, na ulicy, gdzie dobiega z za jakiegoś okna. I w sercu, gdzie nuci wciąż.

Damia kończy piosenkę:

„Tu ne sais pas aimer...
D'aillers tant mieux:
cela fait trop souffrir... Adieu...“

Żeby to można tak szczerze powiedzieć, tak naprawdę sobie wytłómaczyć, że to „tant wieux“, że:

„Nie umiesz kochać, nie...
lepiej, że nie:
zbyt wielki to był ból... Adieu...“

Żeby to można naprawdę zawołać:

„Uczuć wiosna skończy się —
ach, odejdź już w przeszłości mgłę!...“

Zawołać „odejdź“ komuś, co odejdzie, co odszedł — ale i tak pozostał...

Cóż z tego, że
„...un jour, enfin, vois tu j'oublie,
ce rêve n'etait qu'une folie“,
cóż z tego, że
„...zrozumiem w smutku jakichś dni,
że sen mój to był szał tylko zły...“

Cóż z tego?... Pozostaną przecież na zawsze słowa:

„Tu ne sais pas aimer, tu ne sais pas,
en vain, je tends les bras,
je cherche une âme au fond de tes grands yeux —
une âme — et ne vois rien qu'un peu de bleu..“

I Damia, tragiczna pieśniarka Paryża, rzuca te słowa, ciężkie ogromnie, ogromnie prawdziwe, rzuca w mrok sali, w mrok serca.

Witold Zechenter (Paryż).

NAJWYŻSZE I NAJGRUBSZE DRZEWA ŚWIATA.

W Ameryce północnej spotykamy drzewa olbrzymy rodzaju Sequoia, należące do rodziny Taxodiaceae. Sequoia gigantea, jak brzmi jej naukowa nazwa, drzewem „mamutowem“ zwana, jest największem drzewem z pośród iglastych (Coniferae), z których jedynie mierzyć się mogą okazy eukaliptusa australijskiego Jest ona olbrzymiem drzewem dochodzącem 100 m., a nawet 120 m. wysokości, 16 m. średnicy pnia, a 40 m. obwodu. Ciekawą jest w pokroju zewnętrznym, gdyż na strzałę czystą przypada 60—80 m., reszta zaś na koronę. Sekwoja dochodzi do 1500 lat wieku, spotyka się jednak i okazy mające po 4000 lat. Zewnętrzna część pnia, martwicą zwana (popularnie korą), grubości kilkunastu ctm., drewno lekkie, miękkie, bardzo trwałe o twardzieli czerwonawej, bielu bladożółtym, zaledwie 10 cm. szerokim. Sekwoja posiada charakterystyczne igły odstające dług. 5 mm., szyszki jajowate stosunkowo małe, bo dochodzące zaledwie długości 5—6 cm., dojrzewające w jednym roku.

Drugim gatunkiem z rodziny Taxodiaceae jest Sequoia sempervirens o liściach podobnych do cisa. Występuje w okolicach o klimacie łagodnym na stokach nadmorskich dolin. Gatunek ten dostarcza bardzo cennego materjału drzewnego. Pod względem rozmiarów nie różni się od poprzedniej.

Sekwoje stanowią zabytki epoki kredowej i trzeciorzędu, dowodem dawniejszego ich szerokiego zasiągu są szczątki kopalne znalezione w Europie, Azji, Ameryce, Grenlandji i na Spitzbergu. Dzisiaj olbrzymy te rodzimo występują tylko w Kalifornji, w Sierra Nevada i to już w formie bezcennych zabytków przyrodniczych.

Również i drzewa liściaste posiadają swych olbrzymów. Przedstawicielem ich jest drzewo należące do rodziny mirtowatych (Myrtaceae) z gatunkiem Eukalyptus amygdalina, wiecznie zielonem drzewem eukaliptusowem rosnącem w Australji. Eukaliptusy tworzą charakterystyczne zespoły lasów widnych nie dających cienia; liście ich bowiem ustawiają się równolegle do promieni świetlnych, przepuszczają światło w głąb drzewostanu, dając tem samem możność rozwoju bogatemu podszyciu leśnemu. Eucalyptus amygdalina, wangora, dorasta 155 m. wysokości, przy 30 m. w obwodzie pnia. Innym gatunkiem jest E. globulus, błękitne drzewo gumowe, rośnie bardzo szybko, dorastając 110 m. wysokości. Drewno tegoż gatunku jest bardzo cennym materjałem do budowli wodnych. E. gigantea dostarcza poszukiwanego mahoniu nowoholenderskiego.

Liście eukaliptusów zawierają olejek eteryczny stosowany jako środek leczniczy.

Drzewa europejskie dochodzą również niejednokrotnie znacznej wysokości i grubości strzał. I tak jodła 75 m., świerk 60 metrów, modrzew 53,7 m., sosna 48 metrów, buk 44 m., dąb 35 metrów.

Największą grubość pnia, bo dochodzącą do 20 m., osiągnąć może kasztan jadalny, dalej platan 15 m. — zaś co do wieku drzew, to wedle najnowszych danych do najbardziej długowiecznych należą: cyprys 3000 lat, cedr 2000 lat, świerk 1200, lipa 1000, modrzew 600, sosna 570, buk 300, jesion 200—300, grab 150 lat.

Możność przetrwania przez drzewa wieków i całych pokoleń ludzkich potwierdza stare przysłowie: Nie było nas był las, nie będzie nas, będzie las“, które ostatniemi czasy niesumienni właściciele przyjęli jako dewizę umożliwiającą nadmierne użytkowanie lasów, troszcząc się tylko o samych siebie, nie myśląc wcale o stworzeniu warunków bytu dla nowych kultur — przyszłych drzewostanów.

Włodkaw.



Tunel w kilkuwiekowem drzewie w górach Sierra Nevada w Kalifornji. Podobno drzewo to jest najgrubszem na świecie. Presse — Photo.



Obok:
Olbrzymia sekwoja z Converse Basin w Kalifornji uważana za najwyższe drzewo świata. Presse — Photo.

Grock! Grock!...

Słynny komik Grock, który przez 25 lat demonstrował na całym świecie swój rewelacyjny program, opuścił estradę. — Wydał książkę o swoich przeżyciach i wystąpił po raz ostatni w filmie dźwiękowym, stanowiącym wesoły testament świetnego artysty. Film ten ma unieśmiertelnić „program Grocka"; ma też zastąpić jego twórcę w salach teatralnych.

Zapewne nadejdzie on wkrótce do Polski. Na czasie więc będzie szkic poniższy, którego treść należy już do wspomnień, choć pisany on był nie dawno, w czasie ostatniego żywego występu słynnego komika.

Cyrk.

Biedne dziewczę na trampolinie. Publiczność niecierpliwie liczy drżące kroki... na linie... nad przepaścią. — Potem... przewija się program wśród prawie pustej widowni. Dopiero gdy zbliży się „godzina Grocka", rozfaluje się widownia cyrku.

Wreszcie wchodzi. W dziwacznym kapeluszu i stroju, z olbrzymią, przysłowiową walizą.

Zaczyna swój występ.

Publiczność nudzi się, choć niektórzy śmieją się od pierwszej chwili: Wszak to Grock, a Grocka widzieć, i nie śmiać się?!

Słychać głosy:

— Od dwudziestu trzech lat to samo...

„On" tymczasem ze swej wielkiej walizy wyciąga malutkie skrzypce.

— Pourquoi (dlaczego)? — lub:

— Sans blague (bez bujd)...

wymawiane przez niego akcentem tak specjalnym, że żaden z naśladowców nie zdołał go podchwycić!

...przysuwa palcem fortepian do krzesła.

...gra na wszelkich instrumentach, ze wszelkiemi możliwemi trickami i niespodziankami.

Publiczność, zlekka zawiedziona, a jeszcze nie porwana, narzeka początkowo:

— stale to samo przecież!

— będąc dziećmi słyszeliśmy już o tych jego kawałach, potem widzieliśmy fotografje, potem karykatury, potem...

Oklaskują ci, którzy zawsze oklaskują; oklaskują ci, którzy sądzą, że tak trzeba; inni: bo to przecież jednak Grock!

— A inni?

— Czekajcie.

* * *

Z niezmąconym spokojem Grock powtarza swe sztuczki. Te same, od lat. Od dwudziestu trzech lat.

...Odegrał wszystkie przewidziane i nieprzewidziane kawałki i kawały.

...Już spadł z krzesła.

...Pokłócił się przewidzianą ilość razy z akompanjatorem. Już przeprosił się z nim....

Myślimy:

— Przecież to potrafi dziś każdy „jazzbandzista!" Każdy przeciętny komik!

Przypominam sobie właśnie jeden z wywiadów, przeprowadzonych z Grockiem przez pewien dziennik niecejski: Grock sam przyznaje się, że jego „numer" nie ulega zmianie, lecz raczej ulepszeniu w uproszczeniu.

Obserwujemy dalej. Niektórzy analizują go na zimno. Inni sarkają: bo o Grocku tyle słyszeli, że wyobrażali sobie jeszcze coś więcej?

Od czasu do czasu nadstawiamy ucha: Grock mówi? — bezcelowo nadsłuchujemy. — Mruczy raczej, by nas zaciekawić; gra istotnie — tylko mimiką.





Na prawo u góry:
Znakomity komik francuski Grock podczas charakteryzacji w garderobie atelier filmowego.

W kole:
Twarz Grocka — bez szminki i pudru — taka, jaką oglądają Paryżanie za dnia na bulwarach.

Wreszcie wyczerpał swój program. Publiczność bije brawo. Grock dziwi się. Ogląda wkoło. Oklaski podwajają się. Grock wciąż patrzy coraz bardziej zdziwiony (tak dziwić się umie tylko chyba Grock!). Burza oklasków potraja się, ginąc we własnym grzmocie.

— Ale — dlaczego?

— Cicho! „On" mówi!

Pyta:

— Rozumiem. Chcecie jeszcze.

Oklaski. Oklaski.

Bierze znowu skrzypce, i po wielu perypetjach zaczyna grać. Z fantazją podrzuca smyczek w powietrze i stara go się schwycić w locie; bezskutecznie Wtedy pozostawia skrzypce na ziemi i wychodzi...

— Czy po... inne skrzypce? Toby wyglądało na Grocka. — Nie. Idzie za parawan i wprawia się w żonglowaniu smyczkiem. Wreszcie wraca zadowolony: już umie chwytać smyczek w powietrzu. — Schyla się po skrzypce. Czy jest na sali choć jedna osoba, wierząca, że gdy Grock powtórzy teraz „publicznie", „na czysto" podrzucanie smyczka, to potrafi schwycić smyczek w powietrzu tak, jak to mu się udało za parawanem? Nie. Wszyscy wiemy, że nie, że smyczek znowu poleci na podłogę.

Istotnie. Smyczek leży na filcu, wyścielającym klepisko cyrku.

Ale nie czujemy już, że jest zaduch, że niemożliwie pachnie stajnią, żeśmy tak sceptycznie spoglądali „na dół", żeśmy nie widzieli właściwie nic nowego, i wszyscy, wszyscy bijemy brawo i śmiejemy się, śmiejemy się szczerze, beztrosko, szeroko. I pan w cylindrze, i pan portjer, i pan w czerwonej chustce na szyi, i pan policjant.

Grock kończy swój ćwierćwiekowy program.

Kłania się.

Zdejmuje „wyfroterowany" i bezwłosy skalp, i okazuje czuprynę. Kłania się jeszcze. Po raz ostatni!

A widownia spazmatycznie oklaskuje i wyje:

Grock!

Grock!!

Grock...

* * *

Taki był ostatni jego występ.

Czy istotnie ostatni? Czy obejdzie się bez tej pełnej, oklaskującej go widowni?

Dziś widziałem film ze słynnym komikiem. Jest fragmentem z życia artysty (scenarjusz Grocka), który opuszcza swój program, by zaznać trochę spokoju — szczęścia rodzinnego. My, którzy widzieliśmy go tylko na scenie w jego przebraniu, ze sympatją patrzymy na tego innego, prywatngo Grocka, w okularach, z czupryną, o smutnym, dobrotliwym wyrazie twarzy. I wierzymy prawie, że to prawdziwy wycinek z jego życia. Że to naprawdę żona go zdradza, bo się przy nim nudzi, i nie rozumie ani jego, ani jego przyjaciół, umiejących roztaczać wokoło beztroską wesołość.

Wreszcie Grock, po licznych przejściach rodzinnych (biedny Grock!...) wraca do przyjaciół, na estradę. Ten fragment jego życia dzieje się też tylko we filmie. — I dopiero na końcu widzimy na ekranie „numer Grocka". Film się kończy pogodnym „happy endem".

Publiczność kinowa nie opuszcza miejsc, lecz bije brawo i spazmatycznie krzyczy:

Grock! Grock! Grock!...

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

kronika filmowa

Rozmyślania nad filmem rodzimym.

W dziedzinie filmu polskiego jestem złym prorokiem. Gdy przystępowano do realizacji filmu „Na Sybir“ ostrzegałem: dajcie już spokój z mrokiem niewoli, publiczność już nie może patrzeć na tych żandarmów carskich, chce się wreszcie otrząsnąć z koszmarów minionej przeszłości, pocóż jej to wszystko raz jeszcze przypominać? A jednak film zrealizowano i... pobił dotychczasowe rekordy kasowości. Gdy rozpoczynano prace nad filmem „Dziesięciu z Pawiaka“ krakałem: olśnił was sukces filmu „Na Sybir“, ale to był film wyjątkowo dobrze zrobiony i... nie przeciągajcie struny z tą carską ochraną i brzękiem kajdan, wpadniecie... Znów rzeczywistość zadała kłam mym przewidywaniom. Już dziś widać wyraźnie, że film „Dziesięciu z Pawiaka“ pobił nawet niedościgniony, zdawałoby się rekord swego poprzednika. A dla producentów-kupców wynik kasowy jest jedynym probierzem Więc nie ujrzymy już na ekranach żadnych innych filmów polskich? Rozumiem, że mieszkańcy b. Kongresówki chętnie oglądają na ekranie przeżycia, których sami byli naocznymi świadkami, a mieszkańcy Małopolski i Wielkopolski z zaciekawieniem oglądają ilustrację tego, o czem tylko słyszeli, współczując braciom „z za kordonu“. Ale jak długo jeszcze? Coprawda, filmy te są rzeczywiście wykonane bez zarzutu, ale wolno nam chyba przypuszczać, że ci sami artyści, ci sami realizatorzy potrafią równie chlubnie wywiązać się z zadania przy innym temacie. Czego pragnęlibyśmy? — Humoru! Tak chcielibyśmy we filmach polskich nieco pogody, uśmiechu, radości, dowcipu... Nie jesteśmy przecież ciągłymi „tragikami“ w życiu, nie powinniśmy przynajmnej nimi być.

Słyszymy, coprawda, już o pierwszej jaskółce w tej dziedzinie w postaci filmu, wziętego świeżo na warsztat przez „Blok-Muzafilm“. Oczekujemy z zaciekawieniem tego pierwszego polskiego uśmiechu filmowego. Również „Kineton-Sfinks“ ma już zapomnieć o żandarmach carskich. Daje, coprawda, film poważny, ale już nie z czasów niewoli, przeciwnie, z czasów pięknego porywu legjonowego, z czasów Oleandrów i Kielc, radosnego, choć krwawego, marszu ku horyzontom wolności. Już nie usłyszymy w nim jęków i szlochów. Będzie to rozradowany hymn jutrzenki niepodległości.

Niechże i inni wytwórcy polscy wreszcie pójdą tym śladem. Niech naśladują pod tym względem Amerykanów, którzy zawsze, nawet, gdy dają widzom silny dramat, umieją go urozmaicić szeregiem pogodnych, nawet komicznych epizodów i doprowadzić do „happy-endu“, krzewiącego optymizm i radość życia. *H. Lański.*

Plotki... ploteczki...

MARJAN HEMAR, znany „bandyta“ i dowcipniś nigdy nie zapomina o swym „fachu“. Spotkaliśmy go w biurze jednej wytwórni, gdzie właśnie podpisywał kontrakt z reżyserem Szaro na ułożenie piosenek do realizowanego właśnie filmu p. t. „Rok 1914“. — Po załatwieniu spraw zasadniczych, czekał aż maszynistka utrwali jego umowę na papierze. Przy okazji wpadł mu w oko list tej wytwórni do ministerstwa spraw wojskowych z prośbą o wypożyczenie kilkunastu karabinów maszynowych, niezbędnych dla odtworzenia sceny batalistycznej z filmu „Rok 1914“. Nie krępując się niczem, dopisał na tym liście od ręki: „Prosimy również o wypożyczenie trzech pancerników, dwóch czołgów, jednej nadawczej stacji radjowej oraz sześciu złotych, razem dwanaście sztuk“.

Jak widzimy, humor nigdy nie opuszcza Hemara.

* * *

MAURICE CHEVALIER podpisał kontrakt, opiewający na cztery nowe dźwiękowce, które zostaną nakręcone w Hollywood pod kierunkiem znakomitego reżysera Ernesta Lubitscha. Chevalier otrzymuje za występ w tych filmach 25 miljonów franków.

* * *

„MILJON“ Rene Claira grany był w Londynie przez cztery miesiące w jednym z największych tamtejszych kinoteatrów, ciesząc się niebywałem powodzeniem.

* * *

SIMONA GENEVOIS, bohaterka „Dziewicy Orleańskiej“, zaręczyła się z Piotrem Pathe, współwłaścicielem najstarszej wytwórni francuskiej „Pathe“.

* * *

W WYPRAWIE „ZEPPELINA“ do bieguna północnego brał udział operator wytwórni „Fox“. Niedługo więc będziemy mogli oglądać na ekranie etapy tej sensacyjnej ekspedycji.

* * *

WYSTĘP JEANETTY MAC DONALD na deskach teatru „Empire“ w Paryżu, stał się prawdziwą sensacją dla tamtejszej publiczności. Jak donosi nasz korespondent, był to jeden z najpiękniejszych wieczorów ostatnich czasów. Olbrzymia sala music-hallu nie mogła w żaden sposób pomieścić tych wszystkich, którzy pragnęli zobaczyć żywą „z kości i ciała“, świetną królową z „Parady miłości“. Wychodzącą po przedstawieniu gwiazdę formalnie zasypano kwiatami, a cała ulica Wagram, przez którą Jeanette przejeżdżała, była terenem żywiołowych owacyj ze strony rozentuzjazmowanej publiczności.

* * *

„NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN“, film, który wywołał tyle wrzawy we wszystkich miastach, gdzie był demonstrowany, doczekał się wreszcie zezwolenia na wyświetlanie go w Niemczech. Stało się to jednak kosztem wycięcia przez cenzurę wielu świetnych pod względem artystycznym scen, które widocznie drażniły niektóre „sumienia“ w Niemczech.

* * *

„POLSKIE“ FILMY W PARYŻU. Nie zeszła jeszcze z ekranu paryskich sztuka filmowa „Kuzynka z Warszawy“, w której Polka jest Rosjanką, i na tym samym stopniu wiedzy stoją inne wspominki o naszym kraju — a już na ekran jednego z największych kin w nadsekwańskiej stolicy wszedł „Żyd polski“, zdawna zapowiadany wielki obraz sensacyjny, z Henrykiem Bauerem w roli tytułowej. Naturalnie nic tam niema z Polski, gdyż jest to film osnuty na dramacie Erckmanna i Chatriana. Obraz zresztą bardzo dobry i naprawdę sensacyjny; z poczciwych dramaturgów alzackich zrobiono modnych kryminalnych pisarzy. Nic to jednak nikomu nie szkodzi — nawet polskim żydom.

Co obecnie nakręcają?

W kraju.

REŻYSER MEGLICKI przystępuje wkrótce do udźwiękowienia swego filmu p. t. „Straszna noc“. Jest to jedyny w bieżącym sezonie krajowy film morski, który się „ostał“. — Na początku sezonu bowiem był kolosalny „run“ na filmy morskie. Wszyscy niemal reżyserzy polscy ubiegali się o prawo filmowania na okrętach naszej floty wojennej i licytowali się tak długo, aż dowództwo floty zastrzegło sobie, że w roku bieżącym pozwoli tylko jednemu reżyserowi na korzystanie z okrętów i to w ściśle określonym terminie od 1 do 25 sierpnia. — Ostatecznie prawo to przyznano reżyserowi Szaro, twórcy „Sybiru“. Okazało się wszakże, że reżyser Szaro nie zdołał odnaleźć odpowiedniego scenarjusza i zaniechał realizowania filmu morskiego. Równocześnie zrezygnowali reżyserzy Waszyński i Chrzanowski, którzy zamierzali nakręcić filmy przy udziale marynarki handlowej. Został „na placu“ tylko Meglicki, który dokończył jedyny w tym sezonie film morski. W obrazie tym flota nie bierze udziału.

Reżyser Meglicki daje tym razem film na tle powieści dobrze znanego czytelnikom „Światowida“ powieściopisarza A. Marczyńskiego.

W obsadzie widzimy nazwiska: Adama Brodzisza i Zoriki Szymańskiej.

* * *

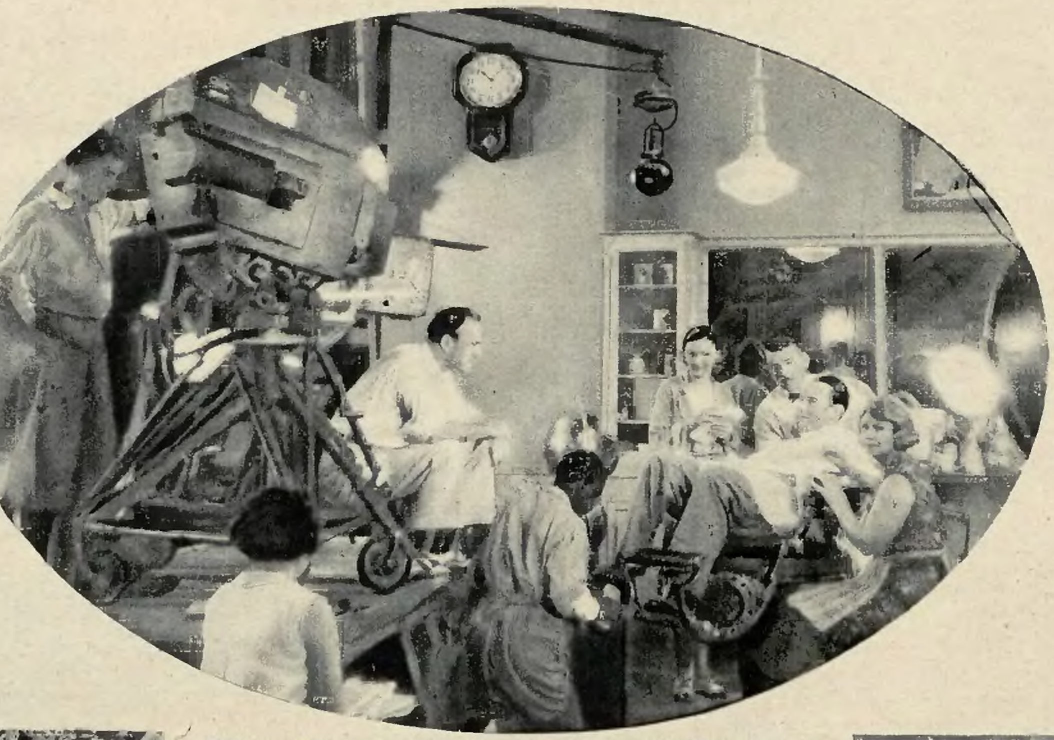
TRZECIM FILMEM polskim, który się w bieżącym sezonie ukaże, jest „Wielkomiejski mrok“ z Bronisławą Liwją i Tomem Brezą w rolach głównych.

Zagranicą.

W BERLINIE rozpoczęta zostanie w najbliższym czasie realizacja dawno zapowiadanego filmu „Królowa Luiza“. Rolę tytułową będzie grała Henny Porten. Nieobsadzona jeszcze została rola Napoleona.

* * *

W NIEDAWNE CZASY przeniesie nas film historyczny amerykańskiej wytwórni „R. K. O.“, oparty na wysoce dramatycznej tragedji serbskiej pary królewskiej, Dragi Maszin i Ferdynanda. W roli królowej Dragi ukaże się dawno niewidziana, znakomita rodaczka nasza, Pola Negri.



William Haines, partner Joan Crawford, Anity Page i wielu innych, wielkich gwiazd amerykańskich, odtwarza tytułową rolę w nowym dźwiękowcu wytwórni „Metro-Goldwyn-Mayer“. Na zdjęciu Haines poddaje się zabiegom kosmetycznym — na lewo reżyser Sam Wood ze sztabem operatorów. Fot M. G. M.



Zula Pogorzelska, ulubiona artystka rewjowa, w nowym filmie polskim; „Ułani... Ułani...“. Fot. „Blok-Muza-Film“.

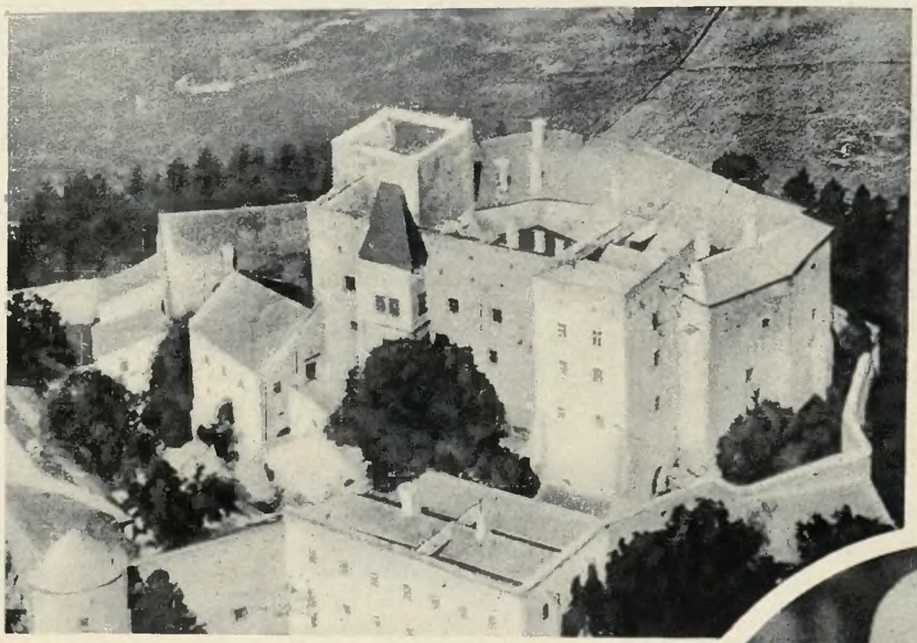


Dwaj znakomici aktorzy charakterystyczni Dymsza (na prawo) i Krukowski odtwarzają role wesołych włóczęgów w filmie: „Ułani... Ułani...“. Fot. „Blok-Muza-Film“.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



Ku czci Edisona. W oryginalny sposób uczciło miasto Harlem w Holandji pamięć Edisona, nieśmiertelnego wynalazcy żarówki. Oto ustawiono tam na ulicach lampy w kształcie tulipanów, których hodowla kwitnie w okolicach tego miasta. Wieczorem latarnie te płoną nadając ulicom widok naprawdę niezwykły (na zdjęciu).



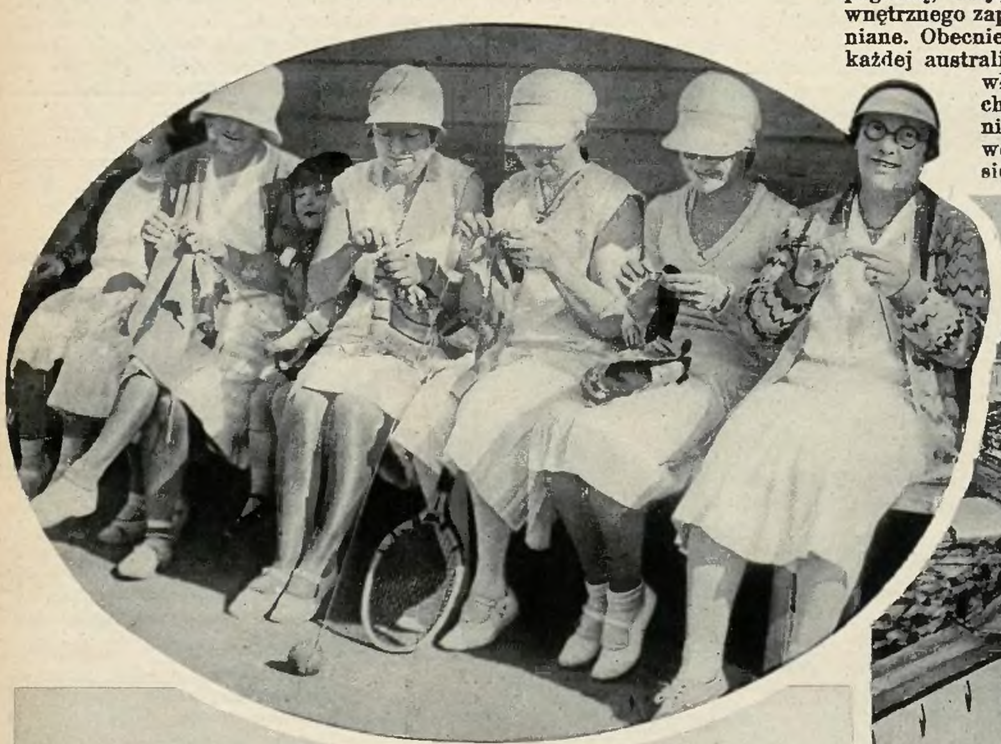
Obok: **Gdzie zamieszka b. król Alfons?** W ostatnich czasach rozeszły się pogłoski że król Alfons XIII. zamierza nabyć zamek w Lubowli (na zdjęciu) na Słowaczyźnie i zamieszkać tam na stałe. Zamek ten jest obecnie własnością Jana hr. Zamoyskiego, który przez swoją matkę ks. Karolinę Burbońską jest spokrewniony z królem. Zdaje się jednak, że w pogłoskach tych niema ani cienia prawdy, gdyż były król kupił już we Francji okazały zamek na swoją rezydencję.

Atlantic — Photo.



W kole: **Serum przeciwko rakowi.** Podobno znanemu uczonemu prof. Woronowi, który wsławił się badaniami nad odmłodzeniem organizmów udało się odkryć serum przeciwko rakowi. Gdyby wiadomość ta sprawdziła się, Woronow stałby się największym dobroczyńcą ludzkości, gdyż dałby jej do ręki broń przeciwko najstraszliwszej chorobie.

W owalu: **Aniołki ministerjalne zaprzągnięto do pracy.** Nigdzie tak dobrze nie powodzi się urzędniczkom rządowym, jak w Australji. Nie nadwyrężają się one tam zbytnio w biurach a władze myślą tylko o przyjemnościach dla nich. Jako curiosum w swoim rodzaju podaliśmy niedawno fotografję, przedstawiającą zespół girls, złożony z urzędniczek ministerjalnych. Jednakże obecnie wobec ciężkiego położenia gospodarczego, w jakiem znajduje się Australja i z braku zbytu na wełnę, będącą głównym artykułem eksportu tego kraju, rząd rozpoczął energiczną propagandę, mającą na celu wzmożenie wewnętrznego zapotrzebowania na wyroby wełniane. Obecnie więc jest punktem honoru każdej australijskiej kobiety nosić wełniane własnoręcznie zrobione pończochy. Na zdjęciu gromadka urzędniczek, która po partji tennisowej usiadła na ławce i zabrała się do robienia pończoch.





Zamarły port. Widomym znakiem kryzysu gospodarczego, jaki panuje obecnie w całym świecie, jest port w Hamburgu, w którym spoczywa już od miesięcy bezczynnie kilkadziesiąt olbrzymich okrętów. Handel zamorski ustał, nie mają one tedy co przewozić. Podobne bezrobocie panuje również i w innych portach europejskich a także i w amerykańskich.

Associated Press.



Obok:

Nie damy się, wołają rybaczki. W Yarmouth w Anglji, gdzie mieszczą się fabryki konserw rybnych, wybuchł strajk wśród pracownic, którym zamierzano obniżyć zarobki. Zdjęcie przedstawia manifestacyjny pochód rybaczek. Śmieją się one do fotografa, dając przez to do zrozumienia, że są dobrej myśli.

The New York Times — Berlin.

Idziemy na herbatkę

Tym razem zapraszam się, jako reporter mody „Światowida“, na herbatkę w gronie pięknych pań, aby przy filiżance wonnej „chińskiej“ czy „rosyjskiej“ pomówić o ostatnich ploteczkach w świecie mody.

Ciasteczka... mogą być też.

A więc, czy panie wiedzą, że

...w dziale rękawiczek i pończoszek zaszły zasadnicze modyfikacje. Pończochy wyrabia się z osobnemi palcami, a la rękawiczki. Nosić się je będzie do greckich sandałów przy sukniach balowych. Rękawiczki balowe są bardzo urozmaicone. Góra robiona z ażurowanej w oryginalne desenie skóry lub też z siatki, łączonej błyszczącą łuseczką lub flitrami. Do rękawiczek dostosowana jest torebka, a częstokroć i pasek.

...obok pasków z lakierowanej skóry lub plecionych z materjału sukni i błyszczącej borty, ukazały się śliczne paski, przeplatane ze wstążek, których końce tworzą z tyłu oryginalny tuff z pukli wstążki, powiązanej umiejętną dłonią w artystyczne węzły.

...zupełną nowością, którą panie przyjmą zapewne z entuzjazmem, są girlandy sztucznych kwiatów — najlepiej aksamitnych — które zarzuca się niby szal naokoło szyi. Przy sukniach balowych jest to prześliczne uzupełnienie tualety.

...od plażowej pyjamy wiedzie się moda sukienek a la jupe-culotte, których krój spodni, ledwo że jest widoczny, wobec plisowania lub kontrafałdów, tworzących nowy ten rodzaj spódniczki.

...na karnawał ukażą się pyjamy balowe z lamy, jedwabiu, perskich brokatów itd.

...modne są śmiałe łączenia dwu kolorów, np. lila — złoty, brąz — orange, złoty brąz — jasno niebieski itd.

...kapelusiki są coraz bardziej płaskie i przylegające do głowy, przy odsłonięciu pukli pięknie ondulowanych włosów z lewej strony głowy. Miękki filc, aksamit i futra o płaskim i w krótkim włosie doskonale się nadają do ich fabrykowania.

...jasne blond włosy, zwłaszcza w odcieniu jasnego złota, są znów najmodniejsze, to też szatynki i brunetki gwałtownie swe włosy utleniają, by aureolą świetlistych pukli, loków i loczków, w rodzaju niezliczonych znaków zapytania, ozdobić bogato swe główki.

...o innych ciekawostkach pomówimy, gdy znów któraś z pięknych pań urządzi naszą wspólną herbatkę, poświęconą tym zagadnieniom.

DO X.



„Petite robe“ na popołudnie z wełnianej georgetty w kolorze ciemno-czerwonym, obszyta potrójnemi plisami po bokach sukni i na rękawach. Pasek pleciony z metalicznej taśmy i sukna w kolorze sukienki.



Suknia z zielonej wełny w dwóch tonach. Biała kamizelka oraz kapelusik z puklem ze wstążki i białe rękawiczki a la Mousquetaire.



Na prawo: Model z crepe marocain granatowej, w odcieniu śliwkowym, z wolantami poniżej bioder. Asamitne drobne kwiaty stanowią oryginalne połączenie z białą kamizelką.

JESIENIĄ AUTEM PRZEZ PODOLE.

Zaleszczyki, w październiku.

Ziemie żyznego Podola, leżące dzisiaj w granicach woj. Tarnopolskiego, nawiedziła w ubiegłym roku klęska pożogi i sabotażu, ale odporność polskiego społeczeństwa na kresach jest tak wielka, że po odparciu tych wrogich zamachów na życie i mienie, Podole zmobilizowało się do twórczej ofensywy na polu ekonomicznem i kulturalnem. Wystarczy tylko przypomnieć wielki sukces Wystawy Tarnopolskiej, zamkniętej w lipcu bilansem: 120.000 zwiedzających i 100.000 zł. zysku, aby unaocznić tężyznę naszej ekspanzji na kresach. Obecnie społeczeństwo polskie na Podolu czyni wysiłki w kierunku wyrywania z masy ludowej tych Polaków, których brak szkół i kościołów katolickich zapędził w szeregi ruskie.

Pragnąc sprawdzić na miejscu nastroje na Podolu, korzystam z uprzejmego zaproszenia jednego z automobilistów i via Lublin—Lwów wyruszamy do Tarnopola, a stamtąd via Trembowla do Czortkowa.

Jedziemy z Tarnopola znakomicie utrzymaną szosą. Szybko mijamy Mikulińce, położone na dawnym szlaku tatarskim. Oglądamy kościół barokowy z XVIII w. i ruiny zamku Zborowskich z XVI wieku, słynnego z bohaterskiej obrony w 1675 r. przed nawałą turecką Ibrahima Szyszmana. Dzisiaj jest to ciche miasteczko handlowe, posiadające browar i młyny. Za Mikulińcami zaczyna się słynny step „Pantalicha". Wywiera on wielkie wrażenie w zimie; zasypany śniegiem staje się ulubieńcem wichrów podolskich, które na tem uroczysku groźne wygrywają koncerty. W lecie złoci się morzem kwiecistem i łanami pszenicy, a jesienią pociąga ku sobie smugami babiego lata, zanim go nie pokryją skiby czarnoziemu. Ale szybko mknące auto drwi sobie z przestrzeni stepowej. Za nami daleko już Pantalicha, a przed nami na cyplu wydłużonego wzgórza rysuje się historyczny gród warowny Trembowla! Położona nad rzeką Gniezną i potokiem Peczenija, T r e m b o w l a imponuje nam obronnością swego Zamku, zbudowanego z kamienia łamanego w roku 1631 przez starostę Aleksandra Bałabana. Zamek Trembowelski jeszcze w r. 1688 odznaczył się znakomitą obroną, ratując miasto od niewoli tatarskiej. Znaczenie obronne Zamku zeszło na plan drugi z chwilą odzyskania Kamieńca Podolskiego w r. 1699. W czasach dzisiejszych otoczony aureolą sławy, zamienił się w ruiny, stanowiące własność miasta, które w pobliżu Zamku urządziło piękny park.

Zatrzymaliśmy się dłużej na Trembowli dla jej nieocenionych walorów, atoli nie tracimy celu naszej podróży i jedziemy szczęśliwie naprzód, mijając po drodze Kopyczyńce, siedzibę starostwa dawnego powiatu Husiatyńskiego. Przez zielone lasy, pełne dębów, buków i klonów — dojeżdżamy do Czortkowa, położonego na lewym brzegu Seretu.

Ze sławnego ongiś Zamku obronnego Golskich, Czortkowskich i Potockich, pozostały tylko ruiny, stanowiące własność fundacji ś. p. Hieronima Sadowskiego. Dzieje Czortkowa, burzliwe i pełne chwały, jak w kalejdoskopie zmieniającego władców, to dzieje całej krainy podolskiej! Kozacy, Tatarzy, Turcy i Moskale, czambuły tatarskie i watahy hajdamackie, wszyscy starali się zawładnąć na wieki Podolem, ale odparci obronną postawą rycerstwa polskiego, powracali do swych siedzib. Atoli chwilowa przewaga wrogów z pod znaku „półksiężyca" zdobyła Podole w roku 1672 i Czortków do r. 1676 pozostawał pod władzą sułtana, w którego imieniu urządził sobie tutaj subbasza siedzibę. — Z tych czasów zachowało się jeszcze znanee przysłowie: „siedzisz łyku w obcym paszałyku"...

Dzisiaj Czortków jest siedzibą dowództwa brygady KOP., a wdzięczna ludność ufundowała N i e z n a n e m u Ż o ł n i e r z o w i artystyczną płytę, jako znak pamięci za ofiarną walkę o wolność. Znak nowych odrodzonej Polski!

Opuszczaliśmy Czortków w słoneczne południe pogodnej niedzieli. Baon KOP-u przy dźwiękach muzyki maszerował do kościoła. Ulice miasta zaroiły się od zielonych kopistów i czarnookich Czortkowianek (po polsku „djablątek") tak szczelnie, że z trudem przejechaliśmy wśród tłumów spacerowiczów. Wydostawszy się za miasto, mknęliśmy z szybkością 100 klm. na godzinę via Jagielnica—Tłuste do Zaleszczyk.

W Jagielnicy podziwialiśmy imponujące mury dawnego zamku lanckorońskich, w którym mieści się Urząd wykupu tytoniu, skupiający produkcję tytoniu od ludności 114 gmin okolicznych, zatrudniających przeszło 11.000 plantatorów, obsługiwanych przez 12-tu instruktorów, dozorujących uprawę tytoniu na przestrzeni 1.000 ha.

Tuż za Jagielnicą, poczynając od Tłustego, zaczyna się barwny kraj naddniestrzański. Chłopi noszą długie płócienne koszule, krótkie skórzane serdaki, opasani rzemieniem, głowy nakrywają wysokimi kapeluszami ze skórzanemi wstęgami. Dorodne „mołodyce", strojne w stylowe szaty ludowe, przybrane suto koralami i wstęgami; śmiejące się ich lica ukazują perły białych zębów, a na świecie — słońce, śpiew i pełnia radości życia. Wszędzie jest spokój i wre gorączkowa praca. Największą radość wywołuje winobranie i zbiór tytoniu. Dwa obrazki z tych uroczystości udało się nam sfotografować.



Panorama Czortkowa, miasta leżącego w jarze Seretu.



Święto winobrania w powiecie zaleszczyckim. Scena przedstawia pakowanie winogron polskich.



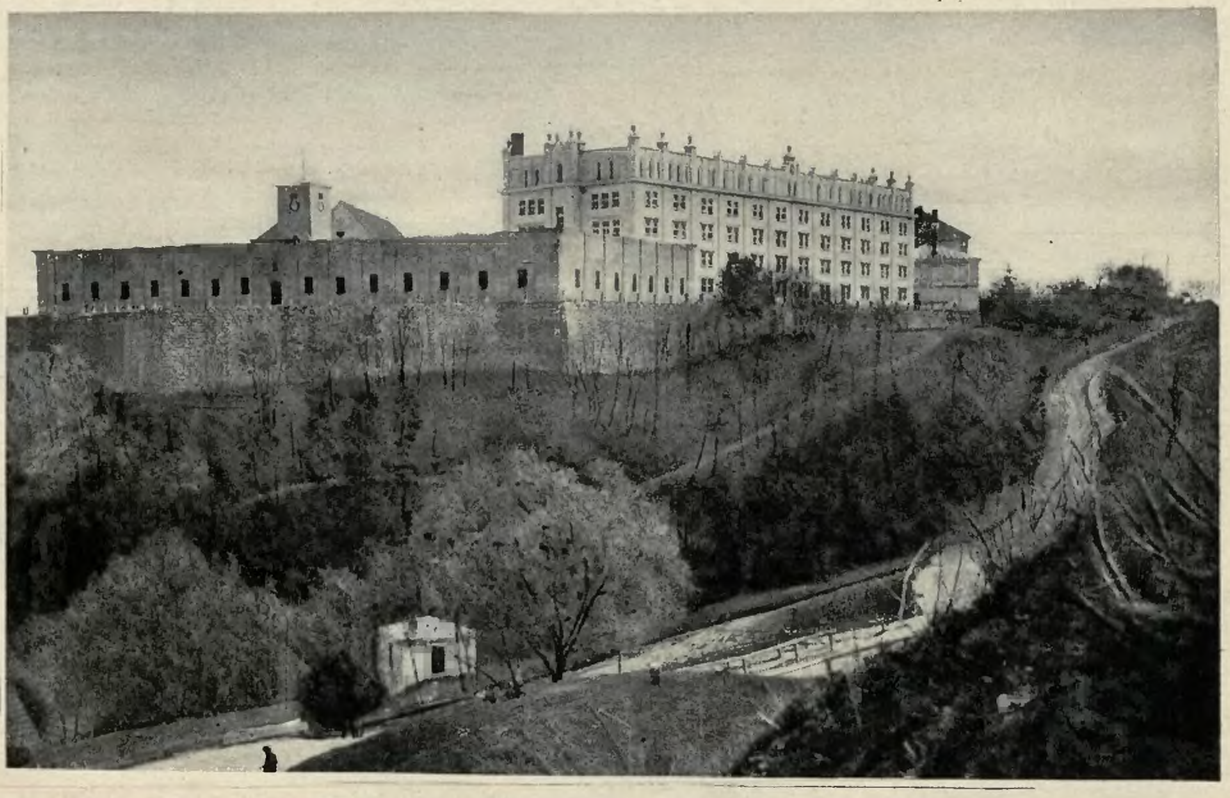
Na lewo: Jesienny siew na stepie Pantalichy na Podolu.

Jesteśmy na granicy polsko-rumuńskiej. W Zaleszczykach wita nas majestatyczny Dniestr, a nad nim wysoko zawieszony, na stromych brzegach i silnych kiesonach, most kolejowy, łączący dwa narody — Polskę i Rumunję!

Po zwiedzeniu „Domu wypoczynkowego oficera polskiego" w Zaleszczykach, udajemy się w dalszą podróż i zatrzymujemy niebawem wzrok u ujścia Seretu do Dniestru, w malowniczo położonych Kasperowcach. Po drodze, we wszystkich wsiach, mijamy odświętnie ubrane grupy niewiast i mężczyzn, ustawione po obu stronach drogi. W U j ś c i u B i s k u p i m, ongiś siedzibie biskupów K a m i e n i e c k i c h, urywa się szosa i jedziemy dalej — 4 klm. — dobrym gościńcem, starym szlakiem tatarskim, w pobliżu starożytnego wału Trajana. Stajemy wreszcie u kresu naszej wędrówki — w Horoszowej, przepięknej osadzie nad Dniestrem, położonej najniżej nad poziomem morza, osadzie nowoczesnej na rozparcelowanych dobrach hr. Baworowskiego, który udogodnił polskiej inteligencji nabycie „na raty" działów ziemi dla założenia kwitnących gospodarstw polskich.

Wśród lasów tytoniowych, sadów morelowych, winnic i pól melono-harbuzowych, spędziłem pierwsze dwa dni października i przy 28 st. C. kąpałem się w Dniestrze w pobliżu „Wyspy Zielonej", zakupionej przez p. Ministra Cara. Tyle miałem fascynujących wrażeń, spoglądając na drugi brzeg Dniestru, za którym zaczyna się już dawna Bessarabja, że nie mogę pominąć milczeniem nawet żelaznego słupa granicznego Nieboszczki Pani Austrji oraz faktu, że w tym cudnym i najcieplejszym zakątku Rzeczypospolitej cami można widzieć przelatujące orły skalne i czarnomorskie, a o świcie stada mew, odlatujących szlakiem Dniestru do morza Czarnego.

M. G. (Lwów).



Dawne zamczysko Lanckorońskich w Jagielnicy, gdzie mieści się urząd zakupu tytoniu, uprawianego przez chłopów na Podolu.

SENSACYJNE WYZNANIE BRYGIDY HELM

Nie chcę być wampem...

W „Capitolu“ odbyła się właśnie premjera najnowszego filmu Brygidy Helm p. t. „Gloria“. Pani Helm odtwarza rolę żony lotnika. Z widowni dochodzą jeszcze burze oklasków — podczas gdy ja znajduję się za „kulisami“, t. zn. za estradą i czekam przyjścia Brygidy, która dziękuje rozentuzjazmowanej publiczności za niebywałe owacje. Po kilku minutach, w pięknej sukni z białego aksamitu i olbrzymim bukietem czerwonych róż w ręku, przychodzi Ona... Dyrektor wytwórni, kierownik produkcji, reżyser, operator, kierownik reklamy, właściciel kinoteatru — wszyscy jej gratulują i cieszą się...

Czekałem sposobności, aby poprosić o krótki wywiadzik.

— Z przyjemnością — powiada — i zaprasza mnie na jutro, do siebie.

— — — — — — — —

O umówionej godzinie zjawiłem się w ultrawytwornym buduarze równie oryginalnej, jak niedostępnej gwiazdy.

Zdziwiłem się, gdy, nie czekając szablonowych pytań dziennikarza — pani Helm żywa, nerwowa — zarzuciła mnie stekiem pytań...

— To pan chce zrobić wywiad? Pan był wczoraj w „Capitolu“? Wywiad dla „Światowida“? Pan jest Polakiem? Jak cudnie. Bardzo lubię Polskę. I Polaków. Podziwiam szykowne Polki. Proszę im to napisać. Dobrze? Nie zapomni pan? Ale napewno!

Oszołomiony urokiem artystki, wdziękiem jej szczebiotu — długo „zbierałem“ poważną minę, by zapewniwszy ją o zamiarze skrupulatnego wypełnienia jej rozkazów — zadać uroczyste pierwsze pytanie wywiadu:

— Która z ról Pani była, jej zdaniem, najlepszą?



Ostatnia fotografja Brygidy Helm z dedykacją dla Redakcji i Czytelników „Światowida“, napisana po polsku.

— Z dawnych — oczywiście „Alraune“. Później Nina Petrowna i Cleo w „Manolescu“. Z reżyserów — zdumiewał mnie zawsze talentem Galleen — teraz imponował mi umiłowaniem i zrozumieniem „naszej“ sztuki Behrendt, reżyser „Glorji“. Nakręciliśmy z nim równocześnie wersję francuską tego obrazu.

— A Lang?

— Lang? Niecierpię go. Zamydlił światu całemu oczy. I ja widziałam w nim Boga. Dziś, dzięki niemu, czuję się nieszczęśliwa.

— ? ? ?

— Tak. Zrobił ze mnie demona i skazał mnie na wieczne wampiryczne bytowanie. A ja w sobie nie mam nic z wampa. Tak chciałam grać role młode, słoneczne, radosne... on stale nakładał mi poprostu kaganiec. Nie pozwolił grać tak, jak czuję — tego, co mi do duszy przemawia... Twierdził, że w każdej innej roli byłabym niedorzecznością. I zasugerował tem publiczność...

— Zresztą to — człowiek zły... bezwzględny...

Pani Helm zaciska usteczka i miota z oczu nieszkodliwe piorunki.

— . . .

— Kiedy grałam w „Metropolisie“, robiono ze mnie odlew gipsowy w Akademji sztuk. Trzy razy w ciągu dnia w gipsie mdlałam. Kiedy chciałam pić, doprowadzono mi wodę do ust przez gumową kiszkę. Byłam półprzytomna, podtrzymywały mnie jedynie zastrzyki morphium. Lekarze, widząc moje wyczerpanie, chcieli pracę przerwać i zakomunikowali o tem Langowi: odpowiedział oschle i lakonicznie: „Ona musi to zrobić“. Jakoś wytrwałam.

— Tak, zawód aktorki filmowej nie z samych róż się składa. Mimo to nie posługuję się nigdy zastępcami. Wszystkie, najbardziej ryzykowne tricki akrobatyczne, wykonywam sama. A w „Metropolisie“ (scena podwórzowa w fabryce) — woda była taka zimna... Wiele osób dostało zapalenia płuc. Jedno dziecko umarło...

Przeraźliwy dzwonek telefonu przerywa naszą rozmowę. Sekretarka Brygidy Helm oświadcza, że mąż pani Helm prosi ją, ażeby natychmiast przyjechała do jakiejś wytwórni na Friedrichstrasse, celem podpisania kontraktu na nowy film.

Poprosiłem jeszcze o fotografję dla „Światowida“ i jego Czytelników. Moja interlokutorka daje mi śliczny fotos i podpisuje go „w dowód sympatji“ — po uprzedniem przetłumaczeniu jej przezemnie zwrotu, który pragnęła wydedykować — po polsku.

Berlin, w październiku 1931.

Rene Dorant (Berlin).

Szarada „Na Zaduszki".

** uł. przez M. Waksmundzką, czł. Warsz. Klubu Szar.**

„Z prochuś powstał — człecze — i w proch się obrócisz"!
Ileż to smutnej prawdy mieszczą te słowa!
Tak! — bo ledwie okiem po tej ziemi rzucisz,
Już cię tam do siebie śmierć — nieboże — woła.
Bo takie to już jest **trzecoe — pierwsze — drugie**
Prawo losu nieodmienne — przeznaczenia,
Iż wszystko ku śmierci dąży i zagubie —
Do swej mety ostatecznej — bez wytchnienia.
I **pięć** kto **wspak ósmej i piątej połowy**
Dopełnił rozkoszy i wychylił do dna
Lub też los miał nędzny i żywot jałowy,
Śmierć ich zarówno zabierze — wiecznie głodna.
Zostawić i **trzecie i dziesiąte** trzeba
I włości, dostatki i dumne pałace,
Boć nie trza nawet marnej kromki chleba —
I tylko — gdyś godzien — rodzina zapłacze.
I wszystko **wspak dziewięć — siódme**, co znikome —
I pamięć — li tylko i imię zostanie
Za zasługi — te prawdziwe — nie rzekome —
Ludzie i ojczyzna wdzięczni będą za nie.
— — — — — — — — — —
Oto dzisiaj wielkie święto jest umarłych,
Czwarte i pierwsze — drugie czasy obchodzone,
Tam po trudach i mozołach — nieraz marnych —
Śpią w mogiłach ich szkielety wychudzone.
Już każdy skończył swój trud i znój codzienny,
Tam w śnie wiecznym **trzy do sześciu** pogrążony,
I podzielił los stworzenia nieodmienny,
Przez Stwórcę — świata Pana — wyznaczony.
Zda się, że ich z światem żywym nic nie łączy,
Że już łączność **raz — dwanaście** jest przerwana,
Iż z żywych, porwanych życia wirem rwącym,
Pamięć o tamtych na zawsze jest wygnana.
I oto dzisiaj — w zmarłych wielkiem święcie —
Wasza cicha „boża rola" się ożywi,
I jakby na jakieś cudowne zaklęcia
Będą razem z **sześć wspak — dziewiątymi** żywi.
Pośród mogił — kwiatów — i świateł powodzi
Ludzie jakgdyby duchy cicho stąpają
I pełni powagi tak starzy jak młodzi
Modlitwę: — „Zmiłuj się **Jedenasty siódmy**" — szeptają.
„**Osiem — dziewięć — dziesięć** wieczne królowanie
„Tam w niebie — u stóp Tronu niebieskiego,
„Niech się Twe wielkie miłosierdzie stanie —
„A nas — żywych tu na ziemi — zbaw ode złego!"

Za rozwiązanie powyższej szarady redakcja „Swiatowida" przeznacza

cztery nagrody.

Pierwsza zł. 50·—, trzy następne po zł. 25·—

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 7-go listopada 1931 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 41

Anonimowy bohaterze.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 41 nadesłali:

Ir. Jaworska, Kraków; Z. Ludwigowa, Warszawa; S. Nowicki, Osmolin; A. Sułkówna, Skarżysko Kam.; L. Glaszmidt, Warszawa; Ir. Kornówna, Warszawa; G. Leszczyńska, Łowicz; T. Berner, Bielsko; Kaz. Janiszewska, Pińczów; H. Turowicz, Kraków; Fr. Staszak, Będzin; H. Staszakowa, Będzin; W. Ciehocka, Skarżysko Kam.; M. Waksmundzka, Jasło; J. Berner, Bielsko; Adela Berezowska, Lwów; Sanatorjum nauczycielskie, Zakopane; J. Wójtowicz, Zakopane; Z. Gilsohn, Dąbrowa; J. Stefańczyk, Pabjanice; Wład. Kosiba, Gorlice; E. Ickowiczowa, Jędrzejów; Lucjan Skowron, Będzin; W. Własczuk, Będzin; Zb. Szymonowicz, Lwów; Ir. Wolańska, Miory; Jan Obtułowicz, Węgierska Górka; „Mańka B. Podgórzanka"; „Przerowa", Cieszyn; Cz. Kozłowski, Warszawa; St. Mikowska, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; L. i Cz. Osieccy, Lwów; M. Hirschenfeldowa, Łochów; Z. Tietz, Warszawa; D. Epsztejn, Warszawa; St. Rakowski, Poznań; B. Szmulewiczowa, Wieluń; Nika Chowańcówna, Stanisławów; Kaz. Solecki, Stanisławów; Jan Janosik, Łask; M. Wilkoszowa, Radłowice; J. Parachoniak, Bystra; W. Pędzimąż, Zakopane; „Maryśka z Pohulanki"; I. Huttes, Kopyczyńce; M. Rappel, Augustów; J. Konarzewska, Rudnik; J. Swoboda, Brześć; E. Unverricht, Pawłów; „Tadek z Zawiercia"; E. Rozenberżanka, Brzeziny; Marja Vossowa, Kutno; T. Stpiczyński, Włocławek; H. Wasielewski, Ostrów; Maryla Poćwiardowska, Toruń; H. Kowalska, Łódź; **Marja Pułkowa, Żywiec (zł. 50.—)**; K. Żarzycka, Lwów; K. i A. Semow, Kraków; N. Ochs, Tarnopol; M. Taras, Stryj; Włodz. Mykita, Bielsko; T. Sławnicki, Białystok; Wł. Hradel, Białystok; A. Dobrowolski, Wilno; Olga Szymonowicz, Lwów; Ir. Torwirtowa, Piotrków Tryb.; A. Galski, Białystok; H. Szutowicz, Nowa-Wilejka; B. Morgenbesser, Łoszniów; Em. Kostyrkówna, Jarosław; H. Puksztowa, Łódź; W. Kowalski, Warszawa; St. Zawadzki, Warszawa; H. Zadarnowski, Dubno; D. Doliwa-Dobrowolski, Warszawa; J. Makosikówna, Leżajsk; H. Chmielowski, Kraków; Zb. Woźniak, Kraków; M. Mochalska, Kraków; J. Głuchowska, Pińczów; Kr. Rożmińska, Żychlin; Zdz. Norek, Kraków; J. Rogowski, Żórawie; H. Lutrowicz, Kraków; Władysław Pol, Częstochowa; L. Kobylarz, Stryj; J. Kamyk, Krynica; Ina Wisławska, Bydgoszcz; Rychłowska, Poznań; Witalis Wróblewski, Włocławek; H. Kornaszewska, Łask; H. Kowalewska, Włocławek; inż. J. Modrzejewski, Lublin; W. Luxemburgowa, Płock; Marja Piwoni, Tomaszów; Ludwik Domański, Kowal; Mich. Wysocka, Warszawa; T. Abratowski, Glinik Marjampolski; Wład. Jankszówna, Otorowo; Edw. Bankiewicz, Poznań; J. Meynas, Inowrocław; Sylw. Klupsz, Kościan; Romana Buzkówna, Kraków; J. Maziarz, Ozorków; Stan. Roskosz, Zakopane; D. Herbstmanówna, Warszawa; Wład. Boner, Lwów; S. Stebelski, Warszawa; H. Frankowska, Bitków; Wład. Szumański, Bitków; **W. Maciejewski, Luboml (zł. 25.—)**; W. Olberek, Katowice; H. Tranczyńska, Poznań; St. Zaliszowa, Poznań; Z. Magierzanka, Miłowody; H. Dobieliński, Poznań; Bronisław R., Inowrocław; Wład. Iwaszek, Trzemeszno; J. Rynarzewski, Poznań; Mera Moszyńska, Lwów; M. Sipowiczówna, Łuniniec; Eug. Wachowiczówna, Niwiski; Z. Zelkin, Łomża; Ela Szydłowska, Zgierz; J. M. Brzozowska, Warszawa; Czesława Gorzkowska, Kraków; Br. Chyczewski, Warszawa; Br. Szast, Warszawa; Wilh. Kierepkowa, Trembowla; W. de Lippa, Warszawa; Z. Boulangé, Baczków; L. Zarański, Warszawa; Leok. Galewiczówna, Ozorków; J. Grzęda, Gniezno; B. Ramułtowa, Jeżów; M. Łuciówna, Lwów; L. Świerczyński, Lwów; T. Kretkowski, Warszawa; Cz. Zabłocka, Warszawa; Kat. Struszkiewiczówna, Kraków; T. Urbanek, Jarocin; W. Buława-Sund, Zgierz; L. Korn, Warszawa; W. Podgórski, Łódź; I. Muszanka, Częstochowa; M. Lewicka, Wojniłów; O. Łętkowska, Zawiercie; M. Paszkiewiczówna, Brześć; Eug. Komorowicz, Jędrzejów; J. Czerwenka, Stryj; J. Lewicki, Przemyślany; H. Barasz, Lwów; Ant. Bieganowski, Łomża; T. Wiśniowski, Stanisławów; Tad. Wysocki, Stanisławów; M. Duda, Lwów; K. Pycio Pabjanice; M. Szuberowa, Sambor; Wiktoryna Krzysztofowicz, Załucze; W. Matus, Zakopane; K. Nowosielska, Poznań; M. Kalicka, Maków Podh.; M. Rapacka, Nowy Targ; T. Knapiński, Stary Sącz; A. Lorenzówna, Toruń; Wład. Pochmarski, Lwów; Ir. Lewicka, Lwów; Ir. Lewicka, Lwów; M. Pietrusiński, Brześć; Ant. Witkowski, Poznań; por. Rytko Winc., Bielsko; W. Tyblewski, Poznań; M. Zdanowiczówna, Warszawa; Kaz. Koszko, Zakopane; M. Drzewińska, Dubiecko; Zuza Haninówna, Lwów; Lena Dorawska, Kraków; Z. Łabęcki, Tarnowskie Góry; Cz. Kozak, Nowy Targ; J. Morelowska, Kraków; H. Nałęcz, Łańcut; „Wilnianka", Wilno; W. Olexówna, Warszawa; Ir. Kalinowska, Warszawa; Edw. Mirek, Dąbrowa Górnicza; Edw. Szynke, Warszawa; Z. Kałka, Częstochowa; Stan. Bober, Warszawa; A. Rynowiecki, Poznań; J. Siutówna, Kraków; St. Kubacka, Poznań; J. Tomaszewski, Rogóżno Wlkp.; **Józef Gyurcśak, Bystra (zł. 25.—)**; T. Sobecki, Poznań; Malwina Kozubska, Kraków; Witold Pawlik, Bielsko; Leop. Bronner, Kraków; Kaj. Łabużek, Kraków; M. Łabużek, Kraków; J. Synowiec, Kraków; Aleks. Szywała; St. Sztock; W. Ustaszewski, Rembertów; Dr. Jan. Sroczyńska, Złoczew Kaliski; W. Siuta, Kołomyja; Z. Rychel, Borysław; St. Ciechanowski, Łęczyca; Wład. Laskówna, Tatarów; Zb. Kowalerski, Tarnów; R. Dergiman, Wilno; A. Rotter, Kraków; H. Braumanowa, Kraków Z. Łakociński, Kraków; M. T. Sobolewski, Września; Kza. Kochmański, Kraków; H. Kurowska, Rakowice; M. Budko, Radziechów; Helena Czubernatówna, Nowy Targ; Zb. Tokarski, Kraków; Tad. Neumann, Drohobycz; M. Tytkówna, Kraków; Fr. Tyński, Będzin; Samuel Lang, Drohobycz; M. Kubińska, Grudziądz; J. Ruta, Wieluń; L. Perlberger, Przemyśl; Edw. Cygan, Jasło; Hel. Leszczyńska, Poznań; Jadw. Chęsiówna, Poznań; Stef. Szczygielska, Prokocim; Miecz. Reich, Drohobycz; Z. Skowronówna, Ostrowiec kiel.; H. Berwertz, Radom; Elia Gribska, Białystok; J. Stolarski, Łódź; Ala Hauschildowa, Nowy Targ; Eug. Turówna, Jaworzno; Jan. Miodowiczówna, Gniezno; Winc. Krzyworzeka, Kraków; P. Mioncówna, Ciechanów; Kaz. Siewierski, Kraków; Roman Hasiuk, Stanisławów; Fr. Speierówna, Kołomyja; Stef. Ksykówna, Opatów; M. Urbanikowa, Kielce; Lena Kanenbergowa, Skarżysko; J. Antonowiczowa, Równe; Franc. Litwiński, Lublin; Stan. Święckówna, Kraków; **Bronisław Aegler, Kościan (zł. 25.—)**; L. Jurkiewicz, Lwów; H. Welfeldówna, Jasło; J. Soszanka, Buczacz; Eug. Kowalski, Zakopane; R. Klimczak, Warszawa; Stan. Widziszewski, Rzeszów; K. Maciejowska, Katowice; K. Pająk, Targanica; H. Antkowiakowa, Lida; A. Jabłońska, Kraków; M. Scholtzowa, Kalisz; T. Klechta, Łódź; H. Zawisławski, Warszawa; „Atila"; P. Karsza-Chmielewski, Warszawa; Jawanta, Słonin; W. Majchledówna, Warszawa; Warszawa; Anna Klein, Warszawa; J. Surma, Białystok; H. Fechter, Przemyślany; Nazar Ciopko, Skobełka; M. Jackowska, Borysław; M. Duchälean, Starachowice; W. Ossowiczowa, Piastów; M. Kacenelenbogen, Łomża; Z. Pieracki, Wilno; J. Dobrowolska, Toruń; Zofja Siudowa, Toruń; M. Rundowa, Bielsko; Stan. Leszczyński, Sosnowiec; por. J. Neumann, Skierniewice; H. Mieczyńska, Chełmica; J. Zielenkiewiczówna, Kraków; Lili Pleskaczówna, Kraków; Wacław Wysocki, Skierniewice; M. Borkowa, Ispina; M. Sobocińska, Raków; E. Nebring, Częstochowa; Janusz Fertt, Zakopane.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Marję Pułkową, Żywiec (zł. 50.—), W. Maciejewskiego, Luboml (zł. 25.—), Józefa Gyurcśaka, Bystra (zł. 25.—) i Bronisława Aeglera, Kościan (zł. 25.—).

Redakcja „Swiatowida" wyżej wymienionym prześle gotówkę w najbliższych dniach.

Hitler gotowy do objęcia władzy...

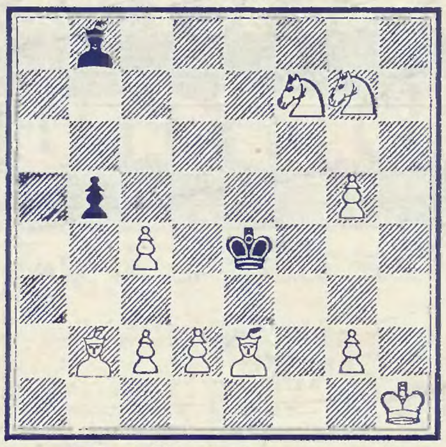


Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

W. Paully („Deutsche Schachztg." 1908).

Czarne: Ke4, Bb8, pion: b5 (3).



Białe: Kh1, Gb2 e2, Sf7 g7, piony: c2, c4, d2, g2, g5 **(10)**.
3-chodówka 10 + 3 = 13.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki W. Paully'ego: 1. G—d4!!
I. 1... K×d4 2. S—e6f i 3 ×.
II. 1... K—f4 2. G—e3f i 3 ×.
III. 1... G—f4 2. G—d3f i 3 ×.

PARTJA.

Białe: **v. d. Bosch (Holandja)** — Czarne: **Dake Stany Zjedn.)**

grana na Olimpjadzie w Pradze b. r.

PARTJA HISZPAŃSKA.

1. e4 e5	15. G—g5 e6
2. S—f3 S—c3	16. S—d4 h6
3. G—b5 a6	17. G—h4 c5
4. G—a4 d6	18. S—e6? **(3)** G×e6
5. 0—0 S—f6	19. W×e6 H—d7
6. W—e1 G—e7	20. H—e2? **(4)** S—e4!
7. c3 b5	21. G×e4 H×e6!
8. G—c2 **(1)** d5 **(2)**	22. G—h7f K—f7
9. d4 S×e4	23. H—h5f g6
10. d×e5 0—0	24. H×h6 S—f5
11. Sb—d2 f5	25. H—d2 **(5)** S×h4
12. e×f6ef S×f6	26. Wa—e1 H—f6
13. h3 G—d6	27. **Białe poddały się.**
14. S—f1 S—e7	

UWAGI:

(1) Korzystniejszem jest 8. G—b3.

(2) W partji Johner—Cohn (Karlsbad) 1907 nastąpiło: 8... G—g4 9. d4 0—0 10. d5 S—b8 11. c4 c6! 12. G—e3 b1c4 13. S—c3 c×d5 14. S×d5 S×d5 15. H×d5 S—d7 16. H×c4 G×f3 17. g×f3 G—g5 18. Wa—d1 Wa—c8 19. H—e2 S—c5 20. K—h1 S—e6 21. G×g5? (G—b3!) H×g5 i Czarne wygrały.

(3) Lepszem było 18. S—f3. Czarne mimo to miałyby i tak przewagę pozycyjną.

(4) Błąd! Wieża powinna wrócić.

(5) Gdyby 25. H—g5 to G—e7! Białe muszą stracić gońca.

Między sportowcami.



„Co nowego?" — „Laval już przybył do Waszyngtonu". „A dobry czas uzyskał?"

SWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65. Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65. Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 44 upoważniający do losowania nagrody